

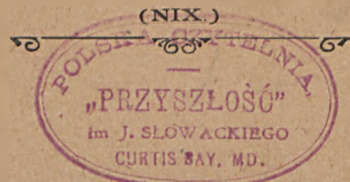


PAN ZAGŁOBA I DYOGENES.

87

EDMUND BOGDANOWICZ.

(NIX.)



PAN ZAGŁOBA

I OYOCENES.

87

(HUMORESKI, SZKICE I OBRAZKI).

Paul J. Sandalgi,
Rektor

SKŁAD GŁÓWNY
KSIĘGARNIA POLSKA IMPORTOWA.
M. P. PARYSKI.
118-120 S. 17th St., Pittsburg, Pa.

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

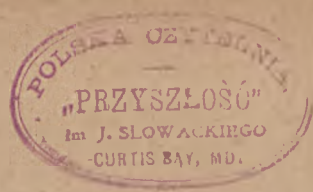
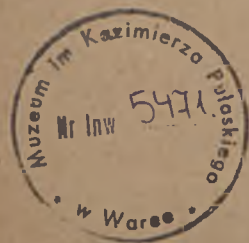
47. Nowy-Świat 47.

SN

ze zbiorów

STANLEYA NAJA

Дозволено Цензурою.
Варшава 7 Іюня 1903 года.



Pandalgi.

Reces

ZAGŁOBA I DYOGENES.

Inćpan Zagłoba w życiu swem
Przeróżne miał przygody,
Tedy raz zabrął—może w śnie—
Za Styksu mętne wody.

I gdy tam chadzał, jako duch,
Zgnębiony tem z kretesem,
Spotkał się nagle nosem w nos
Z Cynikiem Dyogenesem.

Słyszał Zagłoba, że ów mąż,
Mądrości krocząc steczką,
Raz z Aleksandrem dyskurs wiódł,
A wciąż obcował z beczką.

Więc choć godności swojej strzegł,
Herbowi nie ubliżył,
Z człkiem kondycyi nizkiej tak
Do dysput się poniżył.

Z początku była bieda z tem,
Bo chłop cudacznie gada,

A pan Zagłoba z greki swej
Wiedział, iż jest Iliada.

Lecz że w łacinie mocnym był,
Tedy tak zaczął snadnie:
„*Loquor latine, eques sum,*
Choć chmyz to każdy zgadnie.

Siądziem, staruszk, sobie tu
Gdzie Styks ten brudny płynie.
Jak w retoryce będziem znów
Gadali po łacinie.

A zaś zważ asan, żaden człek
Od śmierci nie odgradzon,
Ale nie każdy *natus est,*
Et bene est—urodzon.

Więc uważ sobie także waść,
Gdy wchodzim w komitywę,
Ze mam na łys waszeci wzgląd
I na twe włosy siwe.

Ile że mówią, jakoś był
Człek w filozofii kuty,
Choć ona była modą psią
I niby psu na buty.

U mnie się waść fortelów ucz
I filozofii sztuki.
Bo—szelmą jestem, jeśli lże—
Twe greki to nieuki.

Znam ich na wylot, jak swój but,
I kpię z nich całkiem, bracie,

Ażalim to nie bywał zaś
W Zamościu i—Galacie?...

Miałem ci nawet szkołę sam
I uczniów pełne bursy,
Wołodyjowski pierwszy z nich
Szwedom wykładał kursy.

Zaś filozofia, ot ją masz:
Gąsior i kufel pełny,
Zycie wesełem słodkie jest,
A człowiek siłą dzielny.

Po wierzchu pływa mądrość tam,
Jako na miodzie piana,
I patrzy przedsię jasna w świat
Pogodą pozłacana.

A w sile także mądrość jest,
Lecz nie w tej—co przemocą,
Lecz w tej, co nie da swego wziąć
I bije, gdy jest o co.

W kochaniu także mądrość jest,
Gdy krew uderza falą,
I gdy w różanej niby mgle
Słońca się jakieś palą..

Więc radzę waści tęgo pij,
I mądrość swą podlewaj,
Co dobre—kochaj, co złe—bij,
Lepszego się spodziewaj.”

Tu pan Zagłoba, gdy się piał
Już po tej górnej steczce,

Chciał z filozofii greckiej też
Usłyszeć coś—o beczce.

Więc Dyogenes zaczął wnet
Nad ludzkim losem biadać
I swój cyniczny system „psi”
Zagłobie jał wykładać.

Słuchał Zagłoba, zdumion tak,
Ze blizkim był konfuzyi,
Nareszcie takie słowa rzekł
W dysputy tej konkluzyi:

„*Opiniór*, wasze, w życiu swem
Zwolennik był nagości,
I radził, by *exemplum* pies,
Ogryzać same kości.

By zgoła też w pogardzie mieć
Zyciowe wszelkie gusta,
I—(nie wstyd waści!) beczki chcieć,
Gdy całkiem jest już pusta!

Chodziłeś wasze, jako chmyz,
Z latarką przez pół wieka,
Szukając między greki swe
Ludzkości i człowieka.

Ot, trzeba było do nas przyjść,
Wraz niosąc swą chudobę,
Wskazałbyś waści ludzi moc
A *praeter* tych—Zagłobę.

Lecz czegoż tam od chmyzów chcieć,
Co gębę płuczą wodą,

I w pustej beczce zgoła (tfu!)
Mizerny żywot wiodą.”

Tu splunął w Styks i tak ci rzekł
Zagłoba po łacinie:
— „Psu taką filozofię dać,
Co z pustej beczki płynie!...”

PAN ZAGŁOBA.

(Humoreski).

I.

Jako pan Zagłoba o nowym wieku prawit.

Kiedy pan Zagłoba *in dulci jubilo* przybył do naszego grodu, by pod zgoła tatarskiem przewi-
skiem Łukaj-beya, po staremu, wesołego fortelu za-
żyć, tedy zaraz sobie pomyślałem: Trzeba z okazji
korzystać i znamienitego męża obaczyć, a obaczyw-
szy, na spytki wziąć, czyli, jak to się *noviter* mię-
dzy nami gryzipiórkami mówi: „interviewować.” Cho-
dziłem przeto pilnie od wiechy pod wiechę, pytając
wszędę, żali znamienity mąż tam nie bywał. Mówi-
wiono najczęściej jako był, ale, że to dokumentnie
miasto chciał zwiedzić i nie z jednej beczki miód
pić, tedy pociągnął dalej. Zdybałem go nareszcie
w loszku przy dzbanie.

Pan Zagłoba zły był, mówiąc, jako uczciwego
trunku w całej Warszawie dziś nie najdzie, miody

sapieżyńskie wzdychając wspominał i do szklenicy w żalości wielkiej nieskapo zaglądał. Przywitawszy go przystojnie, miejsce na zydlu modeste zająłem i materję wykladać jałem, tak poczynając:

— Jaśnie wielmożny panie hetmanie!

Pan Zagłoba uśmiechnął się dobroliwie i melancholijnie ręką machnął.

— Prawdą jest, jakom szarże wysokie zajmować był zrodzon. Jak waszmość wiesz, regimentarzem mnie obrano, a władzę hetmańską jenom po przyjaźni Sapiowi (smok do miodu był okrutny) odstąpił. Chan krymski za syna mnie chciał mieć, tylko sultanka Fatka (tu pan Zagłoba zdrowem okiem ku mnie jął mrugać) oponowała, jak to raczej siostrą, niżli matką wolała mi być, a przytem—mawiała—w chańskiej prozapii mógłby się zgoła galimatias uczynić... Tedy, jak waszmość widzisz, nie tylko Łykaj-beyem, ale chanem mogłem zostać. Kogo zasię na elekcyi *in liberis suffragiis* w Warszawie okrzyknięto, o tem modeste zamilczec wolę. Spytaj Wołodyjowskiego, który odtąd, by *coram me* usiadł, zawsze prosić musiałem. Szelmą jestem, jeśli kłże!...

Tu pan Zagłoba zadumał się i kilka haustów potężnych pociągnął i rzekł mi:

— Alem ja na dostojenstwa nie łasy. Tedy mów mi poprostu: „waszmość,” jako to *eques polonus omnibus par*.

Nie miesząc już dalej, zapytałem więc:

— Jak waszmości stary wiek się udał?

Pan Zagłoba pięścią w stół grzmotnął aż się szklenice pochyliły. Co obaczywszy, wyga swoją oburącz pochwycił, a ku mnie w złości zakrzyknął:

— Bodaj waści zabito! Wina sobie ulałem! A choć ten barszcz warszawski dyabła wart, jednak

zawsze szkoda. Co waść ze starym wiekiem, jak z jeżem do psa idziesz i kolere budzisz. Lataś mi liczył, co? Babką ci byłem, co? Jeszcze takich dziesięciu przeskoczę i w krzyżach mi strzykać nie będzie, jako niejednemu z tych młokosów, com ich na teatrum widział. A może podwiki ku mnie oczyma nie strzygły, co? Mogłeś patrzeć, kiedym ichmości panny Marcyannę i Weronikę w jasyr brał, jako się między podwiki wzdychanie wielkie uczyniło, bowiem każda do takiego jasyru aż piszczała. A spytaj imćpana Zarembe, choć niby gładyś, kogo Zosia naprawdę wybrała.

I sapał pan Zagłoba tak, że ledwie mogłem mu wytłómaczyć, jako nie owak jego pytałem, jeno o zdanie takiego statysty o starem stuleciu. Tedy umitygował się pan Zagłoba, zwłaszcza, skorom go statystą nazwał i rzekł:

— Tak mi waść gadaj! A no, to ci zdanie swoje powiem. Miał ci wiek swój początek i koniec (a waść zębów nie szczerz, bo nawet tej prostej sentencyi nie rozgryziesz), jako zwierz ma głowę i ogon. Ale głowa do ogona niepodobna i koniec często początkowi nie rówien. Na początku świeciła ci gwiazda wojownika wielkiego, którego zwali Napoleon. Był ci to rycerz znamienity, choć się do naszego pana Stefana Czarnieckiego nie umywał. Alboż to morze koniem przepłynął, jakosny to czynili? Uczylem go modą tatarską mamełuków w Egipcie zażywać i hałakowaniem straszyć. Setny był chłop, choć misterny, jak pan Wołodyjowski i do wina słabą miał głowę. Lubił mnie zawsze przy boku mieć i po każdej batalii pytał: „Cóż, Zagłoba, dobrze!” A ja mu na to: „Nieźle, nieźle!”—odpowiadałem. Zgubił się wreszcie, jako mnie nie we wszystkim słuchał i za bardzo w statystyce przesadził. Zawsze jednak, choć ogniem i mieczem

świat przeszedł, z onych walk srogich a potężnych pokolenie męźnych zostawił i ducha wszędzie rozbudził.

Tu pan Zagłoba wina popił i tak ciągnął dalej:

— Inaczej się ma rzecz z ogonem wieku, gdzie świeciła głównie gwiazda owego pamiętnego Bismarka. Statysta to był wielki, nie neguję, ale przemędrkował i w końcu nawet Bogu pozwy zaczął pisać. Buta krzyżacka wzmogła się. Ale, jakom rzekł, Bismark przemędrkował i jego *imitatores* także. Tedy sobie waść zakonotuj (mówiąc to pan Zagłoba miał twarz całę poważną), że ta pięść, która krzyżacką potestas na nowo zbiła ku utrapieniu innych ludów, ta sama ją rozbije, bo taka bywa najczęściej kolej losów: czem kto wojuje, ten od tego ginie.

A gdym pytał o nowe stulecie, tedy pan Zagłoba rzekł:

— Co mam prorokować! Będzie deszcz, będzie i pogoda, jako *in Calendario* astrologowie pisują, hołdując przypowieści „na dwoje babka wróżyła.” A czego ma być więcej, czy deszczu, czy pogody, to już od was, mości panowie, zależy. Jenó żal, że już niema takich ludzi, jak Skrzetuscy, Wołodyjowscy, Podbipięta, a choćby i Roch Kowalski, co miał rozum w pięści, ale i wielką miłość w sercu. Tośmy też dziwy wyprawowali i pludrem jako wołem orali, ogonem go włośnym poganiając. Szelmą jestem, jeśli lżę! Niech Roch Kowalski przyświadczy...

Tu jednak spostrzegł się pan Zagłoba i ryknął wielkim głosem:

— Niema Rocha. Niema pana Michała!...

I zalał się łzami, które ciurkiem do szklenicy spływać zaczęły.

Mąż znamienity, spostrzegłszy to, odsunął szklenicę i rzekł jeno z westchnieniem:

— Całkiem już teraz w onem winie sama woda!...

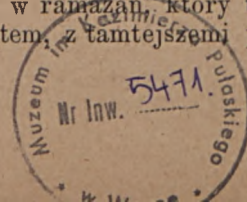
II.

Jako pan Zagłoba na zapusty został i rekolekcyę potem odprawował.

Wyrzekł pan Zagłoba, że go znów w Warszawie niewdzięcznością (*scelicet*: wodą) nakarmiono i zarzekał się, jako otrząśnie „proch z sandałów swoich”—wszelako na zapusty ostał, jeno—jako sam *sub figura* powiadał—„małym komunikiem w lasy zapadł,” co znaczy, iż z pod wiechy całę nie wyzierał, w godnej kompanii wczasu słodkiego zażywając i przez szklenicę sprawy tego świata obserwując. A jako powiada mędrzec pewien: *in vino veritas*, przeto i u pana Zagłoby, jako oka na okraszonym barszczu, prawda po wierzchu miodu pływała i przez usta się wylewała.

Właśnie pan Zagłoba nowy gąsior postawić był kazał i mrugając zdrowem okiem, tak prawie zaczął:

— Nie tajno pewnie waszmości, jakom w Galacie był uęczone, żem to tureckie zapusty nadto skrupulatnie obserwował i w ramazan, który u tych pogan wielkiem jest świętem, z tamtejszemu podwi-



kami (w szarawarach chadzają niebożęta) w komitywę wchodził. Sułtanka Zulejka, która mnie nowym sułtanem mieć chciała, starego po gardle jata-ganem przejechała obiecując (takie to owe tureckie białogłowy zawzięte!), *per invidiam* potem w ręce oprawców mnie oddała, że się ledwie z życiem uszedł. Szelmą jestem, jeśli lżę!...

Tu pan Zagłoba popił, a potem rzekł:

— A waszność nie myśl sobie byle czego.. Sądziś może, że w piętę gonię i w pole jęgonności wiodę? Otóż nie! *Per analogiam* tureckie zapusty przypominają tureckiego świętego, a ztąd... tuż, tuż widać i wasze warszawskie zapusty. Może nie? Taniec tureckich świętych i podrygiwanie, (uczciwszy uszy!) goleni... Nie tak *in illo tempore* bywało! *Fuit Ilion, fuimus Troes*. Były fortuny, była i zabawa, może nawet za dużo zabawy, ale inne były czasy. Zresztą pan bawił się po pańsku, a chudopachołek po chudopacholsku. Dziś—każdy pan: „zastaw się—postaw się,” „hoc na ulicy, choć bieda w kamienicy.”

Znów odsapnął pan Zagłoba i tak mówił:

— Waszność wiesz, żem wstrzemięźliwości i modesty zawsze przykładem świecił. Przypominać też nie potrzebuję, jakom pana Wołodyjowskiego do chlewika na chleb i wodę wsadzić musiał, gdy się Bohunowi na weselu chłopskiem ogarnąć pozwolił. A mało to Sapiowi nakładłem, gdy sprawę z Carolusem *inter poculis* sromotnie pokpił? Ależ też miarę znał i pana Ozarnieckiego również plan-towałem, gdy nas jeno kulbaką i szwedziną tygodniami karmił. Człek wytechnienia i uciechy godziwej, jako słonka potrzebuje, bo szczeźby z krete-sem bez tego. Ale czy wy to się bawić umiecie? Dawniej co innego! Były dziewczki urodziwe i chłopy na schwał! Taki, co działo rychtował i pannie

rzęsiłą w tańcu obrócić umiał, a gdy bachmata tureckiego śmiałą ręką prowadził, to i białogłowie na pasku wodzić nie dał. A one kuligi huczne, a owe tańce skoczne, owe polonezy posuwiste, one drabanty dworskie—albo to je znacie? Przy zabawie i zdrowiu człek się elokwencyą w oracyi popisać mógł i poetyką w tańcu zabawie. Modestyta mówić mi nie pozwala, alem w młodości jako poeta sływał i jako on pisarz rzymski mógłbym o sobie powiedzieć: *Quem referent Musae, vivet...*

Pan Zagłoba siwego wąsa musnął i dalej prawił:

— Pomnę raz, jako się pan Podbipięta (świeć Panie nad jego duszą!) żył, gdy w krakowiaku Hanusi Borzobohatej zaśpiewał:

Wždy ma Kasia Jasia,
Jak cybant u kufra,
Wolejbyś ty chciała
Mieć, Kasiu, Onufra.

A to było *ex tempore, stante pede*, nie tak, jak dzisiejsze gryzmoły robią, co arkusze całe doma kreślą i przekreślają... Dziś wy się miast bawić, najczęściej nudzicie, zbytek za zabawę poczytując. A zbytek to zguba; przyszedł on później i krzywdy dotąd czyni. Tego się strzeżcie, miarę we wszystkim właściwą utrzymując: wedle stawu grobla... Ale cóż! Są ci u was tacy, co przed zbytkiem ostrzegają, ale nie masz takich, którzyby świecili przykładem modesty oraz wstrzemięźliwości, a pracy *exemplum* dawali. Nie masz u was Zagłoby, nie masz!...

Tu pan Zagłoba coraz bardziej w melankolię wpadał (w gąsiorku okrutnie ubywało) i rozrzewniać

się zaczął... Zalał się tedy łzami, ręką szklenicę od wypadku osłaniając, i nagle inspiracją zdjęty, wołał wielkim głosem, jako on Skarga piorunowładny:

— Precz zbytek, któren jest ojcem zguby!... Precz one manele, złotogławia, dyftyki, precz stroje zamorskie i frykasy zamorskie... Weźcie ode mnie (tu pan Zagłoba zlekka gąsiorek przysunął) te małmazye słodkie, wina hetmańskie, miody kasztelańskie... Weźcie, niechaj ich moje oczy nie widzą!...

Słuchałem onych słów w skupieniu wielkiem, jako wieszcz, by Pytyi, a pacholiki służebne stawały z rozdziawionemi gębami. Jeden zasie, ile że był w gorącej wodzie kąpany, skoczył i gąsiorek umknął zamierzał.

Pan Zagłoba zdumiał się sile swych słów i tej zuchwałości... Osowiałe tedy oczy wytrzeszczył, gąsiorek jedną ręką ułapił, a drugą pacholika — w ucho!...

— Nie rusz! *Noli tangere cir... circulus meos*, jako rzekł pewien mędrzec grecki...

— Przecież waszmość mówili... — submitował się pacholik.

— Głupiś! To było *figuraliter*... Zresztą, albo ty chامية rozumiesz...

Tu machnął pan Zagłoba ręką i westchnął wśród łez potoku:

— Ot, nikt mnie dziś nie rozumie...

Nadszedł Popielec, nastał post, a pan Zagłoba, snadź folgując swej melankolii, zniknął, jakby kamieniem w wodę rzucił, albo li kamforę w słoiku bez osłonięcia zostawił. Po próżnicym jeno od wiechy pod wiechę chadzał — nigdzie go naleźć nie

mógł. Aż dziw mnie zdjął, a potem i lęk jakowys ogarnął, czyli się cokolwiek znamienitemu mężowi nie przygodziło, alboli czy z umiarkowania i wstrzeźmiewości nie zachorzał. Aliści pacholik pewien, widząc moje zafrasowanie, dokumentnie mnie objaśnił.

— Pan Zagłoba (powiada) doma siedzi na rekolekcyach, z myślami swemi przestając, u nas zasie (powiada) noga jego od czasu postu nie powstała, jeno...

— Jeno co?

Ale pacholik snadź się zachłysnął, bo, lękliwie oczyma łysnąwszy, zamilkł, a potem zgoła *fugam dedit*.

Tylem go i widział.

W skupieniu tedy wielkiem, *cum pietate*, do drzwi pustelni pana Zagłoby zapukałem, bom jako dżdzu słów jego mądrych był spragnion, a *diferantiam* mu uczynić i myśli zbożne rozproszyć się obawiałem.

Alem się zmógł i kłamki ruszył, ile żem westchnienia ciężkie (aż bulgotało) z izby słyszał.

Pan Zagłoba zaraz coś ze stołu pod ławę *cellerrime* umknął i głowę smętnie zwiesiwszy, grobowo mnie powitał:

— *Memento mori!*...

Ochapiało mi się, że owo „coś” było szkło jakoweś, alem się grzesznej myśli opędził. Jakoż dobrze uczyniłem, albowiem sam pan Zagłoba wkrótce potem mnie objaśnił, że był to słoik ze śledziami *marinatis cum majeranko*, których achtelik, godny i znamienity mąż na post sobie przygotował. Tak też i być musiało.

Pan Zagłoba siedział na ławie, w świetle jednego okna, które go w białe, niby kamedulskie blaski oprawiało, a snadź rozmyślaniem i samotnością był rozmarzon, bo głosem żalonym tak mi powiedział:

— Siadaj waszmość i rozmyślania moje podziel, jako wszystko *pulvis est et vanitas vanitatum...* Zawszem do życia *in eremo* inklinację miał i do klasztoru ciągnął. Nie tajno też waszmości, jako *in Monte regio* na Bielanych u Kamedułów byłem, ale mnie ztamtąd pan Wołodujowski fortelem i przemocą uwiózł. Zawsze to wicher był i podwikarz, żem go na sznurze trzymać musiał. Do celibatu nie mogłem go skłonić, taki to chłop do *matrimonium* był łasy. Ledwie się sam ustrzegł, w komitywie z nim przestając. Ale wytrwał w godnym stanie i chociaż znów zapusty minęły, po Popielcu mogłyby mi pacholeta uczciwie klocek przypiąć. *Liber sum* i pewnie to lepiej, niżbym jakowejś Ksantypie za przypiecek do garnków miał służyć. A że znów z wiosną człek cyrulika wołać i krwi upuścić sobie musi, a teraz czasu postu batożkiem plecy orze, no, to trudno!... *Memento mori!*

Tu smętnie głowę zwiesił pan Zagłoba na pierś i rzekł:

— Com to powiadał? Aha!... Wokację do eremu tom od młodości czuł zaraz, ale dość surowej reguły nie mógł należeć. U Kapucynów też byłem, ale mi broda rosnąć nie chciała, a zaś u Kartuzów w trumnie tom na takiego głądysza wyglądał, że raczej obraz życia niżli śmierci imaginowałem, świeckie wspomnienia na myśl tylko przywodząc. Ano, nie moja wina!

Próbowałem też fratrów sztuki krzyżowej uczyć, ale mnie zakrzyczano. Głównie zaś mio... chciałem rzec: wody uczciwej nie mieli.

Tu spojrział surowo ku mnie pan Zagłoba i rzekł:

— Mów mi waść: konfrater Onufer!

I gdym przytaknął, znów powiedział:

— Bom ci jest! Patrz, jako *in eremo* siedzę, śledzie z achtelika spożywając i wodą ze dzbana pragnienie gasząc. Słyszysz waść: wodą!.. Brr!...

I znów spojrział bystro mąż znamienity ku mnie.

— Powiedziałem „brr.” i nie cofam! A waść nie myśl byle czego! Człek do wody uczciwej przywykł, wody źródlanej i jako zdroje kastalskie czystej, a waszą z aquaduktów warszawskich jeno kozy, beczące żałośliwie, pijać mogą... Tom chciał rzec!...

A wspomniawszy o wodzie, całkiem sposepniał pan Zagłoba i z twarzą wiele poważną zdał się już jeno ze swemi myślami rozmawiać.

— Tak, tak... Wodę upamiętania pijać, bar-kijarzem pracy obarczać, głowę popiołem rozwagi posypać, we włosienicy twardych myśli chadzać—zali ci nie przystało człowiecze? Były zapusty huczne, oj były, a potem nastał post, jako to kolej rzeczy bywa. Tedy zważ, czy nie lepiej, ażebyś się sam rozmyślaniem prał i pracą krwawił, niż iżby ci plecy batożkiem orano, ile że i tak bywa... Nie uchylaj się tedy od rekolekcyj, ani na umartwienia nie narzekaj, jeno ich należycie użyj, jeśli chcesz godnie Wielkiejnocy doczekać. Zali mnie waść rozumiesz? Pokuta, pokuta i pokuta... Kto wody żółcią zaprawnej kosztował, temu słodszy potem miód będzie...

I, jakby się zbudziwszy, zapytał pan Zagłoba:

— He?.. Kto tu mówi o miodzie?... *Apage satanos!*...

A potem już całkiem zbudzony mówił:

— *Memento mori!*.. Ot co!.. Tedy waszmość już idź, bowiem zbliża się pora, w której dyscypliną grzeszne ciało porę, a nie przystoi nagość swoją waści okazywać. Na śledzia zasię i na wodę waści nie proszę.

Tu spojrział pan Zagłoba pod ławę, a jam wielce zbudowany wyszedł. Na schodach jenom sły-szał wciąż ciężkie westchnienia (aż bulgotało).

III.

Jako pana Zagłobę do reszty niewdzięcznością i wodą chciano napoić.

Owego czasu rozeszła się wieść, jakoby źródło słonej wody chciano ochrzcić od imienia znamienitego męża. Łacno odgadnąć, jaką goryczą musiało być napelnione serce onego Brutusa.

...Zastałem tedy pana Zagłobę w izbie, w alteracyi wielkiej. Chodził, utykając z kąta w kąt, pięścią się w piersi grzmotał, karabeli u boku szukał i w końcu zydel nogą kopnął, aż się rozleciał w trzaski. Ujrzawszy mnie, stanął pan Zagłoba i krzyknął:

— Dlaboga, mości panowie, *veto*. nie pozwalam!...

A potem odsapnąwszy znów:

— Bij, kto w Boga wierzy!

Aże mnie strach zdjął, jako poeta rzymski mó-

wi: *gelidus tremor per ossa cucurrit!*.. Takem też stał, jeno ku uspokojeniu powtarzając:

— Jegomość, jegomość!.. Miejże upamiętanie, ile że o przygodę nie trudno, zwłaszcza w waszmościnyh leciech...

Alem się wczas opamiętał i wraz dodałem:

— ...dojrzałych, jak winne grona.

Tem ci się salwowałem.

Pan Zagłoba umitygował się nagle i zawołał z resztką już gniewu:

— Napijmy się!

Napiliśmy się godziwie, a pan Zagłoba nastroił się smętnie i rzekł:

— Czemu mi despekt czynicie?... Ażalim Rzeczypospolitej uczciwie nie służył? Ażalim Burłaja nie usiekl? sztandarów nie brał? nie hetmanił? statystów rozumu nie uczył, a mimo to modesty i umiarkowania przykładów nie dawał?..

Tu spojrział pan Zagłoba pod światło w szklenicę i mruknął:

— Paskudne tutaj macie wińsko!

I tak dalej mówił:

— Com chciał rzec? Aha... Niewdzięcznością mnie napojono i siwej głowy nie uszanowano. Bo rozważ sobie waszmość dokumentnie: Pan Bóg różnym nacyom różne dał przyrodzenia: Są tedy, które tylko piją wodę i te dzikiemi, *nationes barbarae*, się zowią; są, które piją kwaśne piwsko i te najbliżej onych stoją, dzikością obyczaju i *crudelitate* się odznaczając. Tych *Niemcami* zowią, jako że na wino niby nie mają. Są, które piją gorzałkę, i te chłopstwem, alboli pospółstwem się zowią; są nakoniec, które wino i miód nad wszystko przynoszą, a te miłują prawdę, jako „*in vino veritas*”, są

bitne, a mimo to w pokoju słodkie, jako miód prze-
stały.

Tu poruszył się niespokojnie pan Zagłoba na
zydłu i rzekł do pacholika:

— A zobacz-no, ażali tam gdzie miodu nie
najdziesz?...

Tymczasem zaś upił wina ze szklenicy i rzekł
z obrzydzeniem:

— Paskudztwo!...

Potem znów tak prawił:

— Wiadomo waści, jakom zacności narodu
despektu nigdy nie czynił i miód *cum vino* jedynie
pijał. Umiarkowaniom zawsze przykładem świecił,
alem też i natury nie gwałcił. A' owóz rzekł pe-
wien mędrzec: „*Natura vacuum abhorret*”, a nie do-
dał „*aquam*”, ile że to całkiem samo z siebie przy-
chodzi. Tedy i ja próżnego naczynia w życiu nie
znosił, a wody (tu wstrząsnął się pan Zagłoba) na-
wet w butach cierpieć nie mogłem. I oto, co mi
czynicie?...

Otworzywszy zasie szluzu łzom, tak wołał wśród
westchnień zawiesistych:

— Napojono mnie niewdzięcznością!... Żeby
tylko niewdzięcznością, ale—*horribile dictu*—wodą!...
I nie kielichem, nie szklenicą, nie dzbanem, ale —
źródłem... Przebóg! cóżem wam zawinił? Fons „Za-
głoba” i źródłana woda!!

I ryknął wielkim głosem mąż znamienity:

— Tatarzyn, i ten ci, taki kozi syn, miał dla
mnie kobyłę mleko, a wy mnie kwaśną wodą poi-
cie? Tfy, gęsiom takie specyały dawać!... Taką to
wdzięczność, mości panowie! taką zapłata dla za-
sługi? także poszanowanie siwego włosa? Niewdzię-
czny narodził!...

Zasepił się pan Zagłoba, aż nagle zerwał się,
jak żubr rozhlukany, jak żbik raniony i wrzasnął na
całą izbę:

— *Veto!* Bij, kto w Boga wierzy!

IV.

Jako pan Zagłoba o kotach w marcu prawił.

Zbyła się ziemia śniegu, który już jeno w brud-
zdach i szczelinach leżał, a jakoś okiem ogarnął,
widać było czarną glebę, tłustą i połyskującą, a wil-
gocią nabrzmiałą. Szły też pierwsze plugi na rolę
i lemieszem ją lśniącym krajały.

Szarość na świecie była jeszcze wielka, ale
jużci i mietliśka drzew pęczniały, zlekka różowiejąc,
a kiedy się błękit odsłonił, to ci go wszędzie było
pełno, i w strudze, i w kałużach, jakobyś pole
i bruzdy w modne oka ustroił.

Pojrzał tedy przez okno pan Zagłoba i rzekł:

— Ku wiosnie się ma! Owóz i słonko rychlej
wschodzi i później zachodzi, kołem się wyższem po
niebie wspinając i wiatr nie taki mroźny w polu
dmucha. Aliści marcowi zbytnio nie ufaj. Miesiąc
to ladajaki, bowiem cię perfidyą łatwo ugodzi. Raz
ci modrakiem z nieba łyśnie, prymulkę z ziemi wy-
wabi, i już mówisz rad sobie: „*ver appropinquat!*...”
Aliści zaraz ci śniegiem w pysk utnie, albo de-
szeczówki za kołnierz cebrzyk wyleje... Nie darmo
powiadają: „W marcu, jak w garncu”: i krupy
i sadła — i uczciwszy uszy—woda. Czysta abomi-
nacya!...

Tu zgłuszył pan Zagłoba miodem abominację, którą w nim marzec i krupy (a może woda) wzbudziły i tak, otarłszy wąsy, powiedział:

— Zgoła miód musować poczyna, *ergo* i w łoszku ciepłej. Godzi się tedy pasiekę opatrzyć i oczyścić, aby mucha do pracy pasiekiwej była gotowa. Zaiste! ażali jest godniejsze stworzenie Boskie, któreby człowiekowi jako *exemplum* służyć mogło? Bo to i pracowite i miodem żywie... Tedy je *semper* naśladował, umiarkowania w pracowitości... chciałem rzec: pracowitości i umiarkowania przykład innym dając, a miodem jako darem Bożym nie gardząc.

Zadumał się pan Zagłoba nad onemi darami Bożemi, pasa jeno--że to czas postu—na brzuchu podciągając i myśli polityczne dalej snując:

— Jest ci i napój podlejszy, piwem zwany. Ten ci dobry jest do poplukania gęby po mięsie, zrazach z kaszą, alboli świninie.

Pokuso przepadnij!... *Apaga satanas!*.. Lecz jako między pospolitaki mąż się godniejszy zamieszka, tak ci i z piw marcowe najprzedniejsze, dwurącznem albo krakowskiem zwane. Tem sobie podpić statecznie można. A taki i miesiąc marzec, choć ładajaki na ogół, zasługi *coram humanitate* ma. Starożytni zwali go *mensis Martii*, bożkowi go komuników rycerskich poświęcając, pogańscy zaś praojcowie nasi, nim światło prawdziwe poznali, boginię Marzanę, niby Ceresę słowiańską, w nim czcili. Byłci zasie u nas ten miesiąc zawsze i rycerskim i rolniczym, bo to i na Dzikich polach trawy się pierwsze puszczały i szlaki poosychały, pohańcom drogę otwierając, a wedle sadyb ludzkich pługi na rolę szły smugiem.

Popił pan Zagłoba, myśli głębokie rosą miodną skrapiając, i tak *summa cum sapientia* rozważał:

— Owóż jest ci on marzec zgoła dla rycerzy niebezpieczny. *Exemplum* Zagłoba, który mimo postu i biczowań, mimo włosienicy i wstrzemięźliwości mniszej (bom do zakonu zawsze wokacyę miał), krwie sobie już w marcu upuszczać musi, żeby mu się pryski *in corpore*, jako pąki na młodej wierzbinie nie ugnęły... *Exemplum* pan Michał (świeć Panie nad jego duszą!), który w marcu najbardziej wąsikami ruszał, niby żuk majowy, z nogi na nogę przestępował i byle miotłę miłować chciał, nim Basię za żonę pojął... *Exemplum* pan Longinus.

Tu rozmyślenia panu Zagłobie przerwał rozgłośny wrzask i zawodzenie, które się na strzesze wedle komina uczyniły. Uśmiechnął się rycerz znamięniony i rzekł:

— Owóż i kociur i hałlakowaniem się bawi, a kotka go beczeniem nadobnem wabi. A tak ci i nierozumne bestye *ver appropinquans* czują i wedle swego obyczaju zwiastują, głosy wrzaskliwe wydając. Toż i pan Michał, gdy go afekta zmogły, jeno patrzeć, rychłoby jak kur zapiał, albo jako kociur wrzasnął... Ale też szelmy beczą, jakoby je ze skóry darł!..

I *paulatim* odpocząwszy, pan Zagłoba ciągnął:

— A że się koty w marcu drą, tedy o tem taka jest gadka. Kiedy Pan Bóg stwarzał świat, tedy przyszły wszystkie miesiące i rzekły: Każdy z nas, jakośmy szlachta jedna, ma swoje barwy, każdy ma swoje *aroma*, dajże nam, Panie, zawołanie i hasło, abyśmy się z sobą nie skłóciły. Tedy Pan Bóg rozdzielił herby i zawołania, a uczynił to tak: kwietniowi dał klekot bociani i skowronka z bruzdy; majowi słowika i kukułkę; czerwcowi kapelę żabią i bąki; lipcowi najśłodsza muzykę pszczelną w rozło-

żystej lipie, co jako arfa eolowa brzęczy; sierpniowi—przepiórkę; październikowi poświst wiatru; listopadowi kawki i wrony, a grudniowi, styczniowi i lutemu, że to gromadą chodzą, surny boreaszowe i wycie wilków. Jeden ci marzec pozostał i pytał ciągle:

— A ja co dostanę?

Spojrzał nań Stwórca i rzekł:

— Z waszmością bieda, boś ni pies, ni wydra, ni to już zima, ni to jeszcze wiosna. Perfidyś pełen, raz chuchasz, drugi raz dmuchasz, a kota ognem zawsze obracasz. Tedy ci kota do herbu dam, jako to zwierzę fałszywe...

Tak ci one koty marcowe do herbu się dostały i hałas w marcu czynią.

Popił pan Zagłoba i, nasłuchując, zawołał:

— Ale też łajdaki beczą!... Bodaj was poskręcało!...

V.

Jako pan Zagłoba na Zwiastowanie o bocianach radził.

Na Zwiastowanie, jako to zwykle bywa, przyliciały bociany. Ano, wiosna jakoś zamarudziła tego roku, tedy jeden-drugi taki Maciek usiadł sobie żałośliwy na mazowieckiem gnieździe i zadumał się, ile że i zimno i głodno, i troska niemała, bo to, powiadają, strzelać teraz bociany będą. Jakoś mi się owo strzelanie dziwnem wydało i rące nie nadzwyczajne,

czajne, więc powiedziałem sobie: Pójdę pytać pana Zagłoby (który od owych swoich swatów pod przewiskiem Łykaj beja wciąż ino w Warszawie siedział, a już z serc naszych nigdy nie wychodził), co o tem prześladowaniu bocianów myśli i jakie jest jego zdanie.

Jakom rzekł, takem uczynił.

Zastałem ci pana Zagłobę na kwaterze zgoła przy dziwnem zajęciu. *Miracula vidi!*

Wiadomo, że pan Zagłoba naczył pustych nie znosi, podobnie, jak przyrodzenie, *quod vacuum abhorret*. Owóz znamienity mąż butel pusty dzierżył, od okna się z nim odwracał, twarz miłośnie do szkła przytykał i palcem coś wedle nosa majstrował.

Obstupui!

Obaczywszy mnie, rzekł:

— Pójdźno waszmość i obacz, jako się nie mylę. Co to jest?—tu palcem około nosa wskazał.

— Nos!—rzekłem *stante pede*.

— Nie o to pytam—powiedział pan Zagłoba—ale tu, wedle... Patrzaj waszmość uważnie.

Spojrzałem pilnie i rzekłem z małym wahaniem:

— Pyszcz!...

— Aha! widzisz maszmość!—zawołał mąż znamienity radośnie.—Tedy nie myliłem się!

A zwracając się znów ku mnie, zapytał:

— A co zasz jest pyszcz?

— Ano pyszcz!—odpowiedziałem, całę zdumiony i pytaniem i zachowaniem się znamienitego męża.

— Co wiedział, to powiedział!—mruknął pogardliwie pan Zagłoba i dodał: — Ale choć waści szpakami nie karmiono, tedy powiedz, z czego bywa pyszcz?

— Z mio... — zacząłem, ale nie dokończył, bowiem pan Zagłoba butlem, który mu za zwierciadełko służył, o ziemię grzotnął, zdrowem okiem ku mnie lypnął (aż mnie zmroziło) i rzekł surowo ale *summa cum dignitate*:

— Umiaarkowaniom zawsze przykładem świecił, tedy mnie złe języki tyle, co ten pusty gąsiorek obchodzą. Ale owoż pijanicę poznasz łącno po przymówce. Waszmość *accuratissime* się przymówiłeś, a że jesteś u mnie w gościnie, tedy wstrzeźliwości przyrodzonej zaniecham i kompanią, jeśli wola, służyć będę.

A potem do pacholika krzyknął:

— Miodu... a żywo! To zasie paskudztwo (tu na szklisko rozbite wskazał) duchem zamieść, aby oczu nie mierziło.

I poprawiwszy się na zydlu, a mnie drugi wskazawszy, tak mówił:

— Owóż, jakoś się waszmość *ad oculos* przekonął, przycz mi się wedle nosa wyrzucił. Niby to nic, ale z tego naukę wyciągnąć można głęboką. Pryszczczy-li się waszmości nos?

— Nie!—rzekłem frasośliwie.

— Boś pijanica, jako wszystkie gryziپیórki, i w niecnocie chadzasz. A mnie, choć mam lat... Ano, z waszmością zrękówin sprawiać nie będziemy. W ręce waszmości!

— W nieomyłne!

I przepiliśmy miodu.

— Com tedy chciał rzec?—prawił pan Zagłoba. — Owoż na wiosnę pryskają młode drzewa najłacniej, a młoda i ostra krew także pryski daje. Tedy konkluduj waszmość: mądrej głowie, dość dwie słowie...

Tu spojrział tryumfalnie na mnie pan Zagłoba i kontynuował skromnie:

— W modestyi i czystości żywot pędziłem, upały pana Longinusa próżno hamując, a tedy się waszmość nie dziw. Jakoż, co wiosna przyszcze mi się, jako młode wierzbowe pędy, wyrzucają, a cyruлик ze mnie krew ostrą gąsiorkami upuszczać musi.

Wspomniawszy gąsiorek, pan Zagłoba miodu *de noviter* nalał i znów przepił.

— Niewiasty żonę pojąć mi radzą (nie jedna, jako wiem dokumentnie, do jasyru takiego słodkiego wdycha) i już ja sam nad tem rozmyślałem, ale one mazowieckie dziewczki dzisiaj do niczego; na gębie to blade, niby butel pusty (szkaradzieństwo!...), w pasie, jak patyk, rzęsistości zgoła żadnej, abominacya mnie zdjęła. Tedy w czystości żywota dokończyć postanowiłem i do ojców Kamedułów wstąpię, jakom już u nich nowicyat odbył, jeno mnie pan Wołodyjowski fortelem wykradł.

— Na Zielone Świątki i ja na Bielany jadę—wtrąciłem.

— Ano, to i dobrze!—rzekł pan Zagłoba. — Milej jest zawsze w kompanii godnej wypić... chciałem rzec, do zakonu wstąpić. A że sztuką wiosenne humory, jako żuki sprośne kásają, to trudno: batożkami ciało częściej zato prać sobie będę.

Tu pan Zagłoba westchnął, ze szkleniocy pociągnął i rzekł:

— Zawszeć ta wiosna, jako miód wystaly słodka!

Zdało mi się, iż momentum było odpowiednie, tedy zaczął:

— Bociany...

Ledwiem rzekł, aliści pan Zagłoba uczynił się

z wielkiej alteracji cały czerwony, jeno mu chore oko i dziura w czole bielaly. Huknął pięścią w stół, aż gąsior podskoczył (jużeśmy mu ulżyli) i szklenice zadźwięczały.

Brzęk szkła umitygował znamienitego męża.

Pan Zagłoba spojrział niespokojnie, azali się miodu nie ulało, marnować bowiem darów Bożych nie lubił, i wołał zaalterowany:

— Bodaj waści język skołowacial! Bodaj waści zabito! Owo, Bóg strzegł, nie stało się nieszczęścia, gąsior szwanku nie poniósł. Ale łącno stać się to mogło. Co mi waść w bocianami wyjeżdżasz? Gdybym jeno chciał, mógłbym w nie, biedne niebożęta, jak w woły orać, ażby piszczały z ciężkiej pracy!... Bocianówby *in universo* nie starczyło!... A co złe języki mówią, jakobym w Galacie palmę męczeństwa poniósł, to lżą szelmy, jak psy!... Szelmą jestem, jeśli lżę. W Galacie jeno z pewnym baszą, który bratem mi być chciał, a jego sułtanka przeciw siostrzeństwu się oponowała, zatargi miałem i kuf...

Tu spojrział podejrzliwie pan Zagłoba i rzekł surowo:

— Hę!... Kto o kuflu mówi? Jeśli zasie mówi, to lże, jako ostatni szelma! Z rusznicy mnie, kozi syn, ustrzelił i owo ztąd ta dziura w czole, jakom Onufer Zagłoba, herbu Wczele. Waść zasie byle czego nie powiadaj, bo jeszcze do korda sięgnąć umiem, a i sprawić się krzyżową sztuką mogę.

Ledwiem znamienitemu mężowi wytłómaczył, jako chciałem zasięgnąć jego rady i zapytać, co sądzi o tępieniu bocianów. Usłyszawszy to, umitygował się pan Zagłoba i rozrzewnił nad niebożętami (ile że w gąsiorku dno już było widać), a otarłszy wąsy z łez (może z miodu), tak prawil:

— Niebożęta Maćki, na toż im przyszło!... Żle, źle się dzieje, mości panowie. Bocian i jego gniazdo ongi herbem wsi i ziemi, tudzież znakiem pokoju były. Palil Tatarzyn i zapuszczał zagony, Szwed burzył, Bisurman i wszelki skórczybyk hałasowali, a póki gniazda były — były i siedziby ludzkie. Nieraz leżały ci zgliszcza, a na nich sterczały osmalone gniazda i popalone bocianięta. Toż była prawdziwa dopiero pustka! Człek po napadzie, po inkursyi, po zniszczeniu czekał bociana, jak zbawienia, bo mu ten ptak zwiastował i wiosnę i odrodzenie. Powiadają, jako ojcowie nasi przez bociany z Indyami się znosili. Fewien szlachcic z krotofil wzięł ci boćka i skowawszy mu nogę, napisał na obrączce żelaznej: *Haec ciconia est ex Polonia*. Na drugi rok patrzy, a jego bociek powraca, jeno mu się na nodze coś okrutnie świeci. Wzięto znów boćka, a tu obrączka złota i napis: *India cum donis mittit ciconiam Polonis*. Tak to bocian, jako *legatus*, aż do dalekich Indyów latał, a tamci go nie zabili, chociaż to barbari. A że tam nawet bocian jakiego małego zajączka przelknie, a bocianica kuropatwę złapie, to zwierzyna mniej na tem straci, aniżeli od szkodników ludzkich, od nierozumego zbytku polowań i od tej gospodarki terażniejszej, co to na dziś się ledwie ogląda, na jutro nie patrzy, a pojutrze na psy jedzie. Tak, na marne wszystko idzie, mości panowie! Ale bocian to także czyściciel wszelakiego paskudztwa, i jako alegorya tępicielela złych obyczajów służył, a takich my nie lubimy. Oj, nie lubimy!

Tu pan Zagłoba całkiem się już rozrzewnił i, smętnie głowę zwiesiwszy, mówił:

Był ci i Zagłoba takim tępicielem, takim bocianem: Sapieże dzbana umykał, umiarkowania go ucząc, Zamoyskiego Sobiepana do zakonu namawiał,

pokusy mu doczesne z drogi usuwając; Longinusa czystości uczył, i czego się doczekał? Ustrzelono go, jak bociana, i napojono piołunem... Stokroć gorzej, bo — *horribile dictu!* — chciano go poić wodą!... A przecie bocianięta, chociaż po błotach chadzają, wolą żaby, aniżeli wodę... Prawda i to, że od wody żaby się w brzuchu lęgną, alem ja bocian ludzki, *castigator mores!*...

Westchnął ciężko pan Zagłoba, od gąsiorka pustego z abominacją się odwrócił i mruknął:

— Biedne niebożęta bociany! Niewdzięczność dla bocianów i niewdzięczność dla Zagłoby! Niewdzięczny narodzie!

VI.

Przypowieść pana Zagłoby o kusym i o wierzbie.

Poweselał pan Zagłoba, ile że mu nie tyle kwiaty i zioła (na które krowy i *poetae* z uciechą patrzą), co kielbasy wielkocne zapachniały i, poprawiając pasa na obcisłym brzuchu, rzekł:

— Ano, juźci i kwiecień, godny miesiąc, który z palmą w kwietnią niedzielę do nas idzie i Wielki dzień zwiastuje. Tedy na Rusi wierzbomemi gałązkami się biją i powiadają:

Nie ja biju,
Wiera bije,
Za tydzień,
Węlyk dzień!

A zaś w palmie wierzba z białemi kotkami króluje, które przeciw bólowi gardła łykać się godzi, miodem przystojnie popłókując. Nie masz przedniejszego *medicamentum* niż owo!

Poruszył się niespokojnie pan Zagłoba, na szklenicę oczyma łypnął i po gardle się pomacał:

— Zdaje się, jakoby mnie tu coś niepoczciwego lechtało...

Jakoż, nie mieszkając, kotek parę połknął i miodem dokumentnie pokropił; a westchnąwszy — z ulgą rzekł:

— Zaraz, jakoby kto ręką odjął *Probatum est!*.. Com tedy chciał mówić?.. Aha!.. Owóż wierzba pierwsza się w kotki stroi i do palmy gałązki daje. Mizerne to drzewa, niby wróbel między innemi, a na mazurskich piaskach i wedle onej Wisły bez miary się pleni. Umiłował zaś ją Pan Jezus, skoro do palmy dla siebie przypuścił, a jest ci o tem taka gadka:

Onego czasu w Ogrójcu oliwnym była i wierzbinka licha, z której żołdactwo rzymskie i pospólstwo żydowskie różgi brało do biczowania króla Nazareńskiego. Płakało z tego powodu niewinne drzewo, że to jest narzędziem kaźni dla Zbawiciela, ale pomóżł nie nie mogło. Odtąd zaś rozmiłował się w niem dyabeł i ciągle chodził do wierzby w zaloty. Wierzba schła, marniała, a kusy jeszcze się bardziej w amory puszczał, tak, że nawet z tego *proverbium* powstało: „kocha się, jak dyabeł w suchej wierzbie“.

Skarżyła się wierzba Panu Jezusowi, a Ten, choć winy jej dawno przebaczył, powiada:

— Juźci łaski swej nie odmówię, jeno mi kusego tego wypierz!

Zakarlowała to sobie wierzba w pamięci i czekała tylko okazji.

Raz — a było to ku wiosnie — poszedł znowu kusy w zaloty. Chodził ci on zaszere rozmaicie: tó jako chłop Rokita, to jako szlachcic Boruta, to jako zgoła niemiecka pokraka w pluderkach. Teraz zaszere przemienił się w kota, oczyma zielonemi świeci, kark wygina, ogon ku górze pręży i drze się, niby w marcu. Wlazł w dziuplę wierzby i powiada:

— Miłuję cię, wierzbo, ale mi w gardle zaschło, tedy mi daj pić!.

Takie to owo piekielne tałałajstwo szlacheckie gusta miewa!

Tu z obrzydzeniem splunął pan Zagłoba i abominacyę miodem zapił.

— Wierzba zaszere, chociaż z pozoru stara, od soków wiosennych pęczniała, co zgoła świadczy, jako i na Zagłobie niejeden pomylić się może. .

Westchnął znów mąż znamienity, krzywdy swoje z goryczą wspominając, i tak dalej prawił:

— Na czem tedy stanąłem?.. Aha!.. Owóz wierzba postanowiła uczynić ofiarę i upuściwszy onego soku, który jest słodki i niby moszcz winny się pieni, rzekła:

— Pij!

— Kot pił, a że umiarkowania, które Zagłoba wszystkim zaleca, nie znał, tedy mu brzuch nad miarę pęczniał. Jużci i kury ranne pić.. chciałem rzec: pić zaczęły, gdy bies do otchłani piekielnych fugas chrustas uczynić pragnął. Chce wyskoczyć z dziupli, a tu mu żywot napeczniały przeszkadza. Ani rusz, przepchać się nie może. Wtedy, że to już moce piekielne przystępu nie mają, o świtaniu, jak ci wierzba nie zacznie prać kusego, jak ci nie

zacznie różgami siec, pękami młócić, aż ci kłaki z nieczystego wokolo leciały, a w niebie było słychać. Bies wreszcie kadłub opasły przez szparę przecisnął, na wierzbę parsknął, rzucił się na ziemię i jeno się po nim smród smoły i siarki rozszedł. '

Wierzba zaszere w rannym wietrze gałęziami machała, rosą się srebrzystą stroiła i szeptała sobie radosna:

— Anom kusego sprawa! Ha!..

W niebie śmieli się wszyscy święci, a św. Piotr, klucznik i kanclerz niebieski, że to był zawsze krotchwilny, zawołał:

— Kiedy ci wierzba czarnego koczura sprawa, tedy jej dać na pamiątkę białe kotki!..

Słyszał to Pan Jezus i rzekł:

— Niech się tak stanie!

I owóz z wczesną wiosną nizka wierzba pierwsza się w kotki stroi, niby dziewucha aryjska w perły, albo li godny kwestarz bernardyński w paciorki, i do palmy różgi swoje daje, które, choć nie ze swej woli srodze grzeszyły, tedy powoli moce piekielne uczciwie przetrzepały.

Odpocząwszy raz nieco, tak mąż znamienity konkludował:

— Owóz patrzcie, mości panowie, jako cnota zawsze nagrodę bierze, a nieumiarkowanie — chłostę. Tedy wy, którym już przez Wielki tydzień kiełbasy pachną, a pełne szklenice się śmieją, baczcie, jakoby wam się, jako kusemu, wierzbowemi różgi nie oberwało. Z Zagłoby przykład bierzcie, który spartańską cnotą zawsze świecił i kamedulską wstrzeźmiewością się odznaczał. Miarę tedy zawsze chowajcie i zbytów się strzeżcie, ochocie w jedle i opilstwie nadto nie folgując. To wam powiada w kwietnią niedzielę wierzba z palmy i Zagłoba!..

Nie wadzi bowiem o wstrzemięźliwości pamiętać przed Wielkanocą...

Sapienti sat!

I setnie ze szklenicy upił pan Zagłoba.

VII.

Jako pan Zagłoba de arte coquendi prawił.

Zamyślił się pan Zagłoba, a jako zawsze w zadumaniu tem niby perły w głębinie morskiej zwykły były mądre słowa, a głębokie sentencje dojrzewać, tedy znamienity mąż rzekł i teraz:

— Jeść mi się chce!.

A upiwszy miodu z kufła, prawił:

— Dziw, jako ten miód przetrawia! A zasia trojniak w tem najlepszy, jeśli go z muszkatelą w miarę zmieszać, albo trochę pieprzu dodać. Przyrodzonej słodyczy przez to nieco utraci, ale tęgości nabierze i łaknienie sprawia. Ale i dębak dobry, byle czysty. Jenó kopowiec do picia tłusty i nadto syci.

Zadumał się znów pan Zagłoba, a ocknąwszy się, rzekł:

— Com tedy mówił? Aha!.. zjadłbym zraz skopowiny, albo i lepiej świniny.

Pojrzał pan Zagłoba na słońce i westchnął:

— Jeszcze ci słonko od wschodu na południe nie przyszło i *hora canonica* daleko, tedy czas na rozmyślanie spędzę... Owóż powiedział mędrzec pe-

wien: — *Edo ut vivam et non vivo ut edam*. Racya! Ale jeślibym miał żyć, by mnie jeno głodem karmiono, tedy *gratias ago!*..

Jadł ci Zagłoba rozmaicie, a czasem wcale nie jadał, pasa sobie na brzuchu jeno na brzuchu obciągając, że mu i węzełków zabrakło. Bom ci wstrzemięźliwości i zaparcia siebie przykład dawał, Czarnieckiemu nawet wczasy wyrzucając, alem i w poście miarę uchować umiał. Jeśli mnie zbyt długo końską kulbaką, krwią i potem karmiono, tom mówił: *velo*, mościpanowie! Pokazał Zagłoba, że żyje, kiedy Bohuna usiekł, i Burlaja usiekł, i takich synów naćwiartował, więc mu teraz dajcie jeść! Była praca, niech będą wczasy; było ćwiartowanie, niech będą zrazy i kufel do tego! Bowiem, jako on mędrzec powiadam: — Nie warto żyć w takiej ojczyźnie, gdzie podły zgoła wikt dają!..

Odsapnął pan Zagłoba, albowiem go myśl sama o podłym wikcie zalterowała i prawił dalej:

— Owóż w ojczyźnie naszej wikt godziwego nigdy nie brakło, a i miody zacne zawždy bywały. Mógł człek sobie podjeść do syta, a iż mu i przyczyny do utrżesienia brzucha zgoła nie brakowało, tedy i kopiaste misy szły na zdrowie.

Westchnął pan Zagłoba i rzekł:

— Umieci nasi ojcowie bić się *arte*, jako one rzymskie bohaterzy, ale i jeść umieci i pić nie najgorzej. Miał i Zagłoba rzymskiego ducha, tedy do wybitki i wypitki był pierwszy, a i do miski nie ostatni. Bowiem tylko piecuch i charłak od miski z abominacją się odwraca, a miód mu mdości sprawia. Kto się zaś napracuje uczciwie, ten łyżkę z za cholewy równie łączno dobywa, jak korda z pochwy. Z czasem i brzucha senatorskiego może do-

stać, a że qno *ornamentum* w niczem uczciwości nie przeszkadza—*exemplum* ojcowie bernardyni.

Tu z niepokojem pomacał się pan Zagłoba po brzuchu i, podciągając pasa, rzekł:

— Całkiem mi pas opada i robak w żywocie piszczy. Chyba go miodem zaleję.

Tu popił pan Zagłoba i odsapnął.

— Krzynę mi ulżyło!.. Ale mnie głód całkiem osłabił. Dziw, jak mi zrazy po głowie chodzą... Czemu zrazy?.. Ano, bowiem Opatrzność różnym nacyom różne dała przyrodzenie. Tatarzyn i Żyd otrząsa się na świnię, a ciągnie do baraniny, alholi koziny, jako to niby mięso czyste. Tedy ich kozimi synami słusznie nazywają. Bisurmanin szaszłyk na patyku nad inne pożywienie przekłada, Żydzi zaś przednie szczupaki faszerowane przyrządzają, szafranu do nich i korzeni nie żałując. Szwed i inny pludrak niemiecki, który Panu Bogu w Kirsze urąga i konia, owo szlachetne zwierze od *Pferd*, jakoby to stworzenie Boskie *pfe* było, wyzywa — do *flaischu* i peklowiny skłonność czuje, piwem je cienkiem podlewając. Owóz jedno mby flaki poślednie przypomina, a drugie zgoła jak podeszew. Tedy i naród to psa wart i od niego tylko obraza Boska płynie. Francuz natomiast frykasy nad wszystko przekłada, saporu długie pitrasi, zieleninę niby krowa jada, wszystko słodzi, a nawet takim plugawstwem nie gardzi, jak żaby i ślimaki. . Ano nie dziw! cienkusz z wodą pija, tedy mu się żaby w brzuchu lęgną, a we łbie świta. *Nationes barbarae*, jako to pisarze podają, gorsze jeszcze rzeczy jadają, jako to węże, robaki, a nawet owe monstra morskie, co je wielorybami zowią. Aż oto abominacya człeka bierze!..

Popił pan Zagłoba, by onę abominacyę zgłuszyć, poczem rzekł:

— Inszym zgoła jest naród rycerski. Ten żaby i wszelakie ślimaki, a saporu, a kapusty, a kiszki grochowe innym podlejszym nacyom zostawia, sam zaś zraz pieczeni nad wszystko przenosi. Pieczeń zasie może być i ze zwierzyny, i ze świni, i ze skopowiny — byle duża. Może być i kur pieczony i ptaszek, i rybka, byle poczeiwie a suto podlana. Sosy winny być zawiesziste i w miarę tłuste, pospółstwo bowiem tylko, gdy wieprza zabije, omasta i sperką przesadza. I kasza bywa dobra i kłuski na głodny żołądek wysmienite. One zaś sosy wymyślne, a pozłotki, a potrzaski, a malowania, a słodzenia, a lepienia w lwy, baranki, kwiatuszki *et caetera* — licha warte. Ładne to z wierzchu, a w środku zaprzało i potrawa psu na użytek. Insze potrawy znowu po zamorsku przezywają, że zgoła nie wiesz, żali ci kociura w sosie nie podają. Tedy ci w uszach aż dźwięczy od owych przezwisk wymyślnych, język aż kołowacieje od wymawiania, a w brzuchu czczo albo mdli zgoła. Juźci i piolun a rumianek na bóle gotuj. Po zrazach zasie, jeśli w nich pieprzu w miarę użyto, miód szklenicami pić możesz bez obrazy.

Popił pan Zagłoba i mruknął:

— Na nic mnie rozmyślanie osłabiło i śliny mi w gębie przybywa. Dziw, jako mi się jeść chce! Nieśytka zjadł, czy co?.. Chyba już na pacholika zawołam?..

I zerwawszy się z zydła, wielkim głosem zawołał:

— A dawaj, taki synu, co masz do jedzenia, byle rychło!..

VIII.

Zielony dzień pana Zagłoby,

— Owóż — rzekł pan Zagłoba — rozzieleniło się, że aż ha! Tedy słusznie powiadają: *dies Pente costes semper vivere volent*. Tyle ci tej zieleni wszędzie, iż rzekłbyś, ziemia ze słońcem bawi się w zielone. Uhu! w zielone...

Pokręcił węża pan Zagłoba i zanucił nieco przedętym głosem:

Z drzew nazrywam latorośle,
Te Marynie pięknej pośle;
Zielonem niech się zabawi
A niech słuszny zakład stawił...

A potem, westchnąwszy, dodał:

— Był ci i Zagłoba słońcem i zakłady słuszne brał, a Maryny i Kaśki tak za nim latały, że się opędzić nie mógł... Ale nie godzi się *tempora praeterita* wspominać. Zem zaszę umiarkowania i wstrzeźliwości zawsze przykład dawał, tedy i dziś... Uhu!... zieloność mnie rozebrała...

Machnął jednak ręką pan Zagłoba i rzekł:

— Uczciwie jednak powiedziawszy, wszelka zieleninka psa warta. Nie iżbym zgola jej pożytek negować miał! *Nunquam!* Ziola przednie kładą do potraw, jako to: bazylikę, tymianek, bobkowe liście, estragon, pory, selery, pietruszkę; są ci ziola wątrobné, zębne, powietrzne i wszelkiej przypadłości pomocne; jest ci i majeranek (dobry do wędzonki) i piołun (cnotliwy w piołunówce) i inne ziola i trawki foremne, które miodom aromat swój dają. Ale

zieleninka sama, one szczawiki a szpinaczki, one szczypioriki a siekaninki; h!... powiadają, że są nacye zamorskie, *exemplum* galijska, które sałatki jadają i głąbiki gryzą, ale tym właśnie zielono w głowie. Tak i Nabuchodonozor trawę jadał, ale wtedy wołem był. Zagłoba zaszę twierdzi, że z całej zieleninki *optimum est*—zieleniak...

Wymieniwszy zaś cnotliwy napój, popił pan Zagłoba i trzepnąwszy się po lędźwiach, zanucił:

Ta gra tem się prawem chlubi,
Komu zwiędnie, kto je zgubi,
Lub ge zbędzie innym kształtem,
Zapłaci zakład ry-czał-tem!...

Potem zaś rzekł:

— Jadę na Bielany!

A wspomniawszy Mons Regius, zadumał się mąż znamienity i tak prawił:

— Byłem ci tam, bom do zakonu za młodu wokację miał, jeno mi Marysie *impedimenta* czyniły. Zali zaś moja wina, iżem się gładyszem urodził?...

Tu mrugnął filuternie zdrowem okiem pan Zagłoba, potem westchnął:

— Alem się z opresyi wyrwał i w białym eremie wśród zieloności żywicznej zaszył, na pana Kamedulę się kreuując. Jużem w nowym zawodzie niejedną wiktoryę nad znikomościami święcił, bom ojców miódów godnych sycić nauczył i do gry w palcaty zachęcał, kiedy mnie pan Michał fortelem uwiódł i *raptus* nademną szpetne *per insidias* uczynił. Bronilem się, jako lew, cnotę swoją przed pokusami chroniąc, ale gdy mnie pan Michał na ami-

cicyę zaklął, i *spectaculum* groźne przedstawił, jako to nie mam prawa (powiadał) Rzeczypospolitej najlepszej szabli i najmędrzej głowy pozbawiać, tedy uległ.

Znowu westchnął pan Zagłoba i mówił:

— A tak chadzałbym w habicie, nad znikomościami tego świata w białym eremie rozmyślał. *Vanitas vanitatum!*... Jeno ta zieleń wiosenna czasu Pentekosty zawsze mi źle, czyniła, myśli grzeszne przywodząc i o zieleniaku *semper* myślałem... Boni ci wokacyę miał raczej na misyonarza i kaznodzieję. Wiadomo waszmościom, jakom w Galacie palmę męczeństwa wziął i kuf... chciałem rzec z rusznicy ustrzelon byłem, z czego mam dziurę w czole. Ale nie wiecie, jako się to stało. Owóż tak było. Pewnego dnia mułę na dysputę wyzwałem i tak do muru przyparłem, że Mahometa się wyrzekł i gąsior przedniego wina postawić kazał. A jeszcześmy do końca gąsiora nie doszli, kiedy pogańską swoją wiarę rewokował, Mahometa kozim synem nazwał, mnie amicicyę do grobu ślubował i do zakonu, kędy są wina co najprzedniejsze, wstąpić się obiecywał. Poczem pod ławę się zwałił. Tedy mnie *unanimiter* złotoustym obwołano, a jakiś psi syn, niedowiarek, z rusznicy ustrzelić chciał.

Uśmiechnął się dobrotliwie pan Zagłoba, poczem dalej gwarzył ze wspomnieniami.

— Jednakowoż dobrze było w Galacie, bo i sultanem obwołać mnie chciano i niejedna Zulejka, jako kafar przysadzista, sultanką mi być pragnęła. Ale ja misyę swoją miodopłynną pełnić wolał i mułłów nawracać. Zem zasię powściągliwości *exemplum* dawał, tedy i starości zielonej dożył.

Obejrzał się niespokojnie pan Zagłoba i zapytał surowo:

— He! Kto o starości powiada?... Ozwij się chłystku, abym cię kpem nazwał. A jeśliś niewiasta (*quod non spero*), tedy ci jeszcze *inventum meam* okażę.

Poruszył się pan Zagłoba na zydlu i rzekł, na majowe drzewa spoglądając:

— Zieloność mnie całkiem rozebrała. Poczem zanucił:

Z drzew nazrywam latorośle,
Te Marynie pięknej pošę!...

A uderzywszy się w kolano, zawołał:

— Jadę na Bielany!...

IX.

Pan Zagłoba pod lipą.

Nastał lipiec i oto siadł sobie pan Zagłoba pod lipą i zadumał się.

Było skwarne popołudnie, ale pod zieloną strzechą lipy cień panował chłodny. Muchy jeno w powietrzu bzykały, a pszczoła gęsto do miodnego kwiecica ciągnęła, czyniąc z lipy niby arfę eolską, brzęczącą i śpiewną.

Pan Zagłoba jeno się czasem po łysinie szeroką dłonią klasnął, kiedy mu jakowa uprzykrzona mucha dokuczyła, zresztą cały w dumaniu głębokiem zatonął i o całym Bożym świecie zapomniał.

Tótaliter zapomniał o wszystkim—okrom ku-

fla, ku któremu często ręką sięgał, szybkiemu biegowi myśli snadź folgując.

Tymczasem cicho z lipy spływał kwiat słodki, zeglując skrzydełkiem po słonecznym morzu, a jedna gałązka prosto do kufła spadła. Nie ustrzegła się jej chodząca po brzeżku szkła pszczoła i obie utonęły w ciemnym nektarze, napełniając naczynie szelestem i bzykaniem.

Zbudzony z głębokich dumań pan Zagłoba, uśmiechnął się dobrotliwie, pszczołę na kwiecie lipowym z kufła wyjął i położył ją ostrożnie na trawie, nic jej zgoła złego nie uczyniwszy. Potem zasię resztę miodu wychlusnął, nowego nalał i rzekł rozmarzonym:

— Lipiec!...

I upiwszy miarę z kufła, dodał:

— Wystały!... słodki!...

A tak chwyciwszy watek — rzecz dalej prowadził:

— Lipiec—godny to i cudliwy miesiąc. W nim lipy kwitną i mucha się pilnie z ula ku robocie garnie, zbierając miód co najprzedniejszy. Tedy i chmiel dojrzewa, a tak samo przyrodzenia godny proceder wskazuje. I owóz byle chłop, byle cham miód sycić umie, cienkosza sobie przygotowując. Te jednak miody pośredniej natury i ledwie na chamskie gardła starczą. Dwojniak jest ci już lepszy, a trojniak w sam raz...

Tu popił pan Zagłoba i rzekł:

— Dobry!

A potem znów sam z sobą rozważał.

— Trojniak... chciałem ci rzec: lipiec jest tedy miesiąc najgodniejszy. Są i inne, ale mniej cnotliwe. *Exemplo* w maju słowiki się drą ladajako, sen próżno z oczu spędzając; w nocy krew się burzy

i humory kásają... Prawda, że w maju wiśnie kwitną, które to drzewa wiśniak przypominają...

Westchnął pan Zagłoba i rzekł:

— Oj, dało ci nam przyrodzenie i lipy i wiśnie, któremi z dawien dawna kraj nasz sływał, aby człek, jako pracowita pszczołka, ciągnął z nich pożytek... Tedy nie żał nam było pięknych winnych gron dalekiej Auzońskiej krainy. I owóz strach pomyśleć, jakoby się człek bez winnego grona, bez chmielu, bez lipy i wiśni obchodził!... Lada ordyniec, taki kozi syn, z kobyłego mleka kumys sobie przyrządza, *ut laetificetcor*... Aż są takie *barbarae gentes*, które, o horror! wodę jeno pijają! Nabuchodonozor, powiadają, kiedy się wołem stał, trawę jadał i wodę pijał... A owóz i bydło, gdy je w bród pędzą, ryczy ze zgrozy i obrzydzenia. Gdyby człek ku wodzie przyrodzenie miał, tedyby jako gęś lub zgoła żaba do wody z młodości ciągnął. A on jeno mleko z macierzystej piersi pije. Tedy zawsze mawiano o cnotliwej krainie: „mlekiem i miodem płynąca”, które to słowa rozumieć tak należy: mleko dla onych nierozumnych niemowląt, co byle paluch w gębę wsadziło i już mu dobrze, a miód dla mężów i rycerzy... Żali zaś kto sływał, by mówiono o jakowymś kraju... „wodą płynący?” Brr... Zabska by się w takim kraju gnieździły, nie ludzie...

Westchnął znów pan Zagłoba, a pociągnąwszy miodu, dalej prawil:

— Godny miesiąc lipiec... Starożytni Rzymianie zwali go „Julius” od onego Caesara, który bitności i sztuki wojennej przykład dawał. Słuszniej jednak nasi ojcowie, którzy w bitności i starożytnym przykładom nie ustępowali, od lipy go i pracowitej pszczołki nazwali. Bowiem pszczołka i pracowita

i skrzętna i miód nadęszystko prznosi. Był ci i Zagłoba taką pszczołką, pracy, skrzętności i umiarkowania przykład dając, a miód... chciałem rzec cnotę nad wszystko przynosząc. Ale go nie oceniono i żywot mu piołunem zatruto. A gdy wielkim głosem wołał: Dlaboga! Miarkujcie pożądlivości wasze, waćpanowie! W szklemce nie dzwońcie! do dzbanów zbyt skwapliwie nie zagładajcie! — mawiano...

Tu pan Zagłoba rozpaczliwie rękami zamachał i wedle wąsów mokrych trzepocząc, wrzeszczał:

— A pójdziesz, utrapiona! Zali mnie za lipę bierzesz?...

A odegnawszy pszczołę, która mu na wąsach usiadła, nalał sobie znów miodu, ale w nim troje pszczoł utopionych pływało, jako to już było blisko dna.

Tedy przykrywszy dzban połą od żupana, wstał pan Zagłoba i poszedł ku domowi, mruczając:

— Okrutnie te pszczoły dokuczają, ale zawsze! — bodaj się święcił lipiec!...

X.

Rzepy, ha!..

Lipy już okwitły, jeno dojrzałe zboże, jakoby szczerze złoto, na polach w słońcu się pławiło, a w onem złocie sierpy i kosy srebrzystą błyskawicą świeciły. Przewalając się po skibach, jechały ko-

piaste wozy, a w powietrzu słychać było z tumanów pyłu skrzypienie wielkie i huczne z batów kłaskanie.

Na wozach siedziały dziewczki rześiste, roześmiane, gząc się z parobkami, a gdy owo taki wóz wedle okien dworu jechał, tedy pan Zagłoba ze szklemnicy miodu popijał, językiem mlaskał i trzepiąc się po kolanach, mówił:

— Jak rzepy!... Hu!...

Aliści ku myślom powagą brzemiennym, jako zwykle wracając, tak owo dalej prawił:

— Dostojny jest miesiąc sierpień, który przodkowie nasi od sierpa, nie jako Rzymianie wedle liczby *mensis september* nazwali. Albowiem ma on w znaku zarówno sierp, jako i rzepe... chciałem rzec „dziewkę”, *virgo*... Tak ci ma lipiec — lipę i „lwa”, który w wystalym miodzie siedzi i animusz zacny rodzi. A jako po miodzie, który pragnienie gasi, a łaknienie budzi, rzepa... chciałem rzec bułka pszenna, alboli placek żytni się przygodzi, tak owo po lipcu kłos w polu dojrzewa i pod sierp dla pożytku ludziom idzie. Że zasię nie samym chlebem człowiek żyje, tedy i chmiel zebrać przystoi i z żyta godziwej żytniówki nieco upalić. Z kartofli podlęjszy już naród siwuchę pędzi, a pludry zgoła uczciwe zboże na mizerną lurę jakowás' marnują. A zaś wiadomo, *praeter vinum* nie masz nad miód wystaly!

Tu pan Zagłoba znów do szklemnicy zajrzał, językiem mlasnął, a usłyszawszy skrzypienie wozu, za okno wyjrzał i mruknął:

— Rzepy, ha!...

Atoli zwiesiwszy głowę, mówił dalej:

— Alem w czystości żyć postanowił, tedy pokusa przystępu do mnie niema. Do zakonu zawsze

powołanie czulem, jeno mi zawsze *impedimenta* jako-
weś na drodze stawały. Lat ci już...

Obejrzał się pan Zagłoba, ażali kogo w izbie
nie ma, i myślom swoim swobodnie folgując,
gwarzył:

— Ano, lat wiele z pokusami się borykałem,
od pana Longinusa i pana Michała pawężą się
cnoty zastawiając, to i żywota w czystości do-
konam.

I zmrúżywszy zdrowe oko ku dzbanowi, zwie-
rzał się *confidentialiter*:

— Mógłby ci Zagłoba wiele powiedzieć, jako
pokusy ciężkie zwalczał, gdy w Galacie bywał, z suł-
tanem w konfidencyę wchodził i do chana krymskie-
go posłował! Niejedna sultanka od wzdychania
wielkiego, jako szczapa wyschła, chociaż Turczyni
białogłowy swoje tuczają, by rżęsiłości godnej nabra-
ły. Pod niejedną zydel się w drzazgi załamywał,
gdy nań usiadła. A orzechy...

Tu tylko ręką machnął pan Zagłoba i rzekł:

— *Vanitas!*

A w coraz większą melankolię wpadając,
prawił:

— Jeno mi żal, że owo Zagłoba, jako ona
jałowica biała z tego świata zejdzie. Ale jako ka-
żdy sierpień ma swój plon, chociażby chudy, tedy
i lata Zagłoby nie będą całkiem jałowe. Siał ci on
w pocie i żął ostrym sierpem, pragnienie zawsze je-
no potem gasząc...

Tedy upił pan Zagłoba spory haust miodu
i tak kończył:

— *Non omnis moriar!*.. Zostaną czyny Zagło-
by i zostaną jego myśli... Takowe zasie potomstwo
godniejsze białej jałowicy, niżli głupie cielęta. Było

krowa takiej sztuki dokona... Gdy tedy mój sier-
pień przyjdzie, legnę jako kłos śpiący a ciężki i pójdę
na wieniec przodownicy. I pomnieć będą pokole-
nia, jakom wstrzemięźliwości przykład dawał (tu po-
pił jeszcze pan Zagłoba), umiarkowaniu wzorem słu-
żyłem, pokusom się oponowałem i pożądlivościom
folgi nigdy nie dawałem.

A gdy wóz zaskrzypiał za oknami, tedy pan
Zagłoba aż się wychylił i krzyknął:

— Rzepy! ha!...

XI.

Jako pan Zagłoba o grzybach rozważał.

Ciągnęły już zórawie kluczami i bociany zry-
wały się do odlotu, a słońko, zniżając się coraz bar-
dziej na niebie, świeciło jakoweś mdłe i melankolii
wielkiej pełne. Tedy i pan Zagłoba w melankolię
ciężką popadł, i gęsto wasy w miodzie maczając, aby
ulgi na duszy doświadczyć, tak sobie prawił:

— Wrzesień—ano jesień... Schyla się słońko
ku zimowej stronie i ptactwo do odlotu się zbiera.
Wrzosi, od którego to ziela i miesiąc wrześniowym
nazwano, fioletem podszywają lasy, a liście purpurą
i złotem się okrywają. I chodzi sobie ona jesień
nasza, jakoby dostojnik jaki w fioletach, złocie i szkar-
lacie...

Spuścił głowę pan Zagłoba i rzekł:

— Melankolia mnie zmogła, tedy jako *poeta*

gadam, który to naród wiatraki wzdychaniem wielkimi obraca, ale pospolicie mało pocziwej mąki umiele. Mógł ci być i Zagłoba poetą zostać, bo go już Apolinem okrzyknięto, ale nie chciał darmo chleba. Chodził ci też jako dziad-lirnik, a wonczas dumki misterne układał o Marynie i „diwczynie”, a hołota nasłuchać go się nie mogła. Ale kiedy Semeną setnie w łeb lirą zajechał, tedy dowiódł jasno, jako lira w rękę męża nie brzękadłem, jeno orężem być winna...

Westchnął znowu pan Zagłoba i miodu w miarę popił, a potem prawil:

— Owóz, com chciał rzec?... Aha!.. Wrzesień—godny miesiąc, choć od mizernego zielska nazwany. W nim też i liść winny się czerwieni i jagoda dojrzewa, ostatnie promienie słońca w siebie biorąc, aby ludziom ku pociesze serca służyć. Bowiernom powiedział mędrzec: „*Bonum vinum laetificat cor!*...” I oto wrzesień, chociaż w melankolii chodzi, raduje cnotliwe serca, które widzą, jako się jagoda nalewa, a jesień powiada: wypij! A owoż powiedział jeszcze cnotliwy mędrzec: Są trzy *gradus comparationis: bene est* — nalej, *melius* — pij, *optime*—wypij!

Jakoż wypił Zagłoba, bowiem był cnotliwego serca, i rzekł dalej:

— Ztąd jesień w winnym wieńcu chodzi i jako Bachusa na znakach pod wiechą *pictores* ją imaginują. We wrześniu też mucha silna bywa i ze psem za łby się bierze. I pospolite muchy okrutnie kłają, zjadliwość ostatnią okazując.

Tu klasnął się pan Zagłoba po łysinie, a potem jeszcze gwarzył:

— We wrześniu grzyby w lasach gęsto rosną, a rydze po polankach szlakami między murawą cią-

gną. Tedy miesiąc ten możnaby grzybnym, albo li rydzowym nazwać.

I nagle rozrzewnił się pan Zagłoba, a tłumiąc westchnienia miarowemi łykami, wołał:

— Przebóg! Chciano i Zagłobę za grzyba mieć, ale grzyb grzybowi nie równy. Są grzyby psie, są zajęcze, wilcze, sarniaki, są bedłki pospolite, są muchomory zjadliwe, ale są ci i borowik i rydz między niemi. Jest ci zasię borowik grzybów pułkownikiem, ale rydz im chyba hetmani. Jędrny jest, soku czerwonego, niby krwie pełen, na czubie ryżawy, czerw go się łącno nie ima i korzeń ma twardy...

Tu pan Zagłoba po łądzwiach się trzepnął i chociaż nikogo w izbie nie było, rzekł:

— Rydz, co?...

A potem zasie mówił:

— Na gębie zawsze byłem czerwony, a jędrność ciała na długie lata przechowałem, bom wstrzeźliwości i modesty przykład dawał. Jeszcze mnie sułtanka Zulejka rydzem zwała, pod bok z amicycyi sójkę dając, alem jej rzekł: „Nie dla psa kielbasa...” A była to godna niewiasta, jak rzeпа, ha!... Bom ci czystość ślubował i zdawna abominację czułem do tego niewiernego tałałajstwa, które winę nie pija, albo li, Mahometa oszukując, w bukłakach je mierzi i smrodem kozim przyrodzone jego aroma zatruwa.

Na to wspomnienie rozrzewnił się jeszcze bardziej pan Zagłoba, a upiwszy godziwie miodu, westchnął zawiesić i rzekł:

— Wara, mości panowie, mieć Zagłobę za grzyba zmuarszałego, który jeno czerwiom za karm służy! Jeszcze ci Zagłoba tak na psy nie zeszedł... Jeślim grzyb, to jeno rydz, który jędrności i czer-

stwości jesiennej przykład dawa. Bowiem ten rydz, niby fioletek jesienny w trawie się kryjąc, zawsze wstrzemięźliwości i modesty uczy. A zacie borowik nie jeden, choć ma trzon, jak pałę, brzuch, jak beczkę, a czub czarny, czerwiami jest, niby zraz słoniną, naszpikowany. Tedy się modesty i wstrzemięźliwości uczcie, jeśli chcecie na sta... chciałem rzec, na jesieni rydzami zostać.

I popiwszy jeszcze haust grzeczny ze szklenicy, pan Zagłoba po udach się trzepnął i, choć nikogo w izbie nie było, zawołał z lubością:

— Rydz, co?...

XII.

Babie lato.

Jużci ziemia, zbywszy się plonu, ciemną pierśią ku słońcu błysnęła, a gęste mgły, w dół przypadszy, zdały się tę nagość osłaniać; juźci i lasy, umalowane w szkarłatne i pozłociste barwy, jęły liść strząsać i łysieć; juźci ranne rosy poczęły ziebić, a noce chłodem przejmować, gdy oto jeszcze raz uśmiechnęło się słońce. Było ono złote, jako nigdy w lecie; słodkie, niby umizg niewieści, mdłe, niby sama niewiasta i jako ona wabne a pieśczośliwe. Wyjrzało i ozłociło i tę ziemię w czarne skiby zoraną, i te lasy, to rdzawe, to szkarłatne, i tę zieleń łązną, po wtórych pokosach poszarzała, i cały świat i wszystkich ludzi. Taka-bo już bywa nasza jesień polska, kiedy zechce. Nie zawsze ta-

ką bywa, ale gdy się uweźmie, to i wiosnę zakasuje. Nie darmo wrzesień drugim majem nazywają! A i październikowi czasem się z tego coś okroi...

Tedy słodko było w tym umizgu słonecznym na świecie i pan Zagłoba, jako ciepło nadewszystko miłował (gorąca tylko i tłoka nie znosząc), przed gankiem na zydlu usiadł i gąsior na wszelką przygodę pod ręką postawił.

Siadł i nie iżby kości miał wygrzewać, jako to niedoleżna starość czyni, lecz niby spałe grono głowę łysą na słońce wystawił i—zadumał się. A była to zaś zaduma głęboka, rzekłbyś drzemanie, gdyby nie to, że pan Zagłoba słabości onej lat sędziwych nie podlegał. Ot dumał poprostu *de quibusdam rebus et omnibus aliis*, politykiem i statystą zawołanym będąc.

Aż owo z lipy, która już, jak ongi, nie brzęczała słodko pszczołami, zaczęły spływać cicho liście, a wraz z niemi spłynęła i długa nić pajęcza, którą jesień po powietrzu rozwiesza. Spłynęła i omotawszy łys pana Zagłoby, poczęła coraz to nos znamienitego męża muskać. Pan Zagłoba, zadumy głębokiej nie przerywając, kilka razy niby od dokuczliwej muchy się opędził, lecz w końcu uległ. Brwi podniósł, głowę wstrząsnął i—kichnął...

Otworzył zacie oczy, począł:

— Zdrzem...

Ale rychło do przytomności wracając, mówił:

— Com chciał rzecz!... Aha!... Ki licha, w nosie mi łechtalo?... Aha!... Owóż i babskie lato po powietrzu się snuje, niby owe przedziwne motki, które białogłowy przędą... Ano! taka i jesień nasza, jakoby cię niewiasta po gębie głaskała i w umizgu a słodkim karesie mówiła: „Onufer, a naści gęby!...” Specyał!...

Młasnął językiem pan Zagłoba i miodu upił.
 — Październik—godny miesiąc, choć od lada-
 jakiego październik jest nazwany. A zawždy miło
 pojrzeć, kiedy baby len międlą, wyżej kolan kiecki
 ugiąwszy. Bo owo i pracy pilnej *exemptum* dają
 i rzepę... chciałem rzec: zdrowie okazują. A potem
 i październik niby srebrne płatki po powietrzu lata-
 ją, tedy i październikowym miesiącem nazwano. Ale
 i szlachetniejsze też prace październik człowiekowi
 zgotował. Chamską rzeczą jest międląć i młócić,
 szlachecką zasie miód sycić i o winie pieczę mieć,
 jako to na jesieni i liść winny pierwszy się czerwieni,
officium to nobile przypominając. Jeżeli zaś liść
 winny czerwieni się zgoła, tedy czyni to z kolery
 oraz z abominacyi, jako ludzie dzisiaj lurę pijać mo-
 gą, którą pod lada wiechą — wodą setnie podlano.
 Brr!...

Tu popił znów pan Zagłoba miodem i dalej
 prawil:

— Ma ci miesiąc październik w herbie nie-
 dźwiadka, który jest zwierzęciem zamorskiem i kol-
 cem w ogniu merda. Ale mógłby mieć i niedźwie-
 dzia, który miód nadewszystko przynosi i w paź-
 dzierniku do barci się dobiera. Aliści, jako i nie
 jeden panek potem łapę przez zimę liżę, z czego mamy
 brać naukę, aby wstrzemięźliwość i miarę zawždy
 zachować.

Jakoż upił w miarę pan Zagłoba i rzekł:

— Był ci Zagłoba takiej wstrzemięźliwości za-
 wsze przykładem, tedy go się i dzisiaj babskie lato
 ima. Bom ci jeno jako śpiałe grono dojrzał i staro-
 ści nie zaznał. Tedy mnie jeszcze słońce po gębie
 głaska i mają jesienne budzi... A owoż niejeden
 w ową porę kości stare na słońcu suszy i jako nie-
 dźwiedz o drzemce jeno myśli.

Zadumał się pan Zagłoba i oczy nawet przy-
 mknął, a głowa mu się na bok przechyliła. Gąsiora
 zgoła—aż dziw!—zaniechał i tylko snadź myśli wiel-
 kie zgłębiał. A z lipy prószył liść złoty i srebrne
 pasmo znów jęło go po nosie łaskotać. Tedy otwo-
 rzył oczy małż dojrzały i poczał:

— Zdrzem...

Ale wraz oprzytomniał i strzepując przędzy,
 ku szklenicy się garnął, a myśl przerwana tak
 kończył:

— Utrapione babskie lato!...

XIII.

Jak pan Zagłoba gęś na św. Marcina spomniał.

Ocknął się tego dnia pan Zagłoba całkiem
 osowiały. Oczyma po powale i ścianak błędził, szu-
 kając onej poświaty jasnej, którą z sobą przynosi
 pierwsza ponowa śnieżna, aliści w okna zaglądał je-
 no brzask mdły i nikły wstającego późno dnia li-
 stopadowego.

Dzień był szary i dżdżysty, z siwem podszy-
 ciem mgły skłębionej, ze zrudziałemi wyporkami
 drzew bezlistnych i wielkim tołubie chmur, rzekłbyś
 Tatarzyn, po zdeptanych polach z łupem wracający.

Nie szło też nic tego ranka panu Zagłobie:
 przy pacierzach omal się nie zdrzemnął, polewkę
 z piwa z grzankami wysiorbał bez smaku, a miód
 wydał mu się jakowyś niewystały i cienki.

Siadł sobie tedy na zydłu wedle pieca i tak
 mówił:

— Owóż miesiąc listopad, *mensis november*, psu na budę się nie zdał, kiedy ponowa się spóźnia. Woli też pies w budzie siedzieć, aniżeli w polu błota zażyć i od byle szaraka, który sobie pod miedzą, jak pan, siedzi, despektu i melankolii z trudem się opędza, żeby go do cna nie pogrzyżała.

Popił pan Zagłoba miodu i rzekł:

— Całkiem na psa taki czas!... Melankolia mnie zmoże!... Owo bowiem przyrodzenie pełne smętku i żalości..

I zwiesiwszy głowę, począł nasłuchiwać:

— O! jako się wrony dra... Żeby je pokrzywiło!... Bo to i ladajakie ptactwo i złe zawsze wróży... A i gęsi niebożęta hałas okrutny sprawiają... Bodaj!...

Lecz zastanowił się pan Zagłoba i rzekł zadumany:

— Którego to dzisiaj mamy?... Aha, jako żywo: *die undecimo novembris*, tedy dzisiaj św. Marcina.. Żem też to całkiem zapomniał!...

I ożywiwszy się nagle, tak prawił:

— Cnotliwy miesiąc listopad, gdy oto ma w herbie tak godnego patrona. Bowiem św. Marcin rycerzem był znamienitym i teraz pewnie w niebie porucznikuje, prowadząc chorągiewkę przeciw zastępom piekielnym. Tedy i pomiędzy patrony św. Marcin jeden z najprzedniejszych i razem ze św. Jerzym wojuje. Jeslibym zaś miał syna, jużbym go też nazwał Marcinem, bowiem Onufer imię raczej hetmańskie... Ale ja, jako jałowica biała, choć... Ano, wszystko dopust Boży!...

Westchnął pan Zagłoba, zdrowem okiem mruknął i mówił dalej:

— Com chciał rzec?... Aha!... Owóż i gęś, jabłkami nadziewana, najprzedniejsza. Dziw, jako

to ptak niepoczesny, a cnotę dostojną w sobie kryje. Są, którzy orła królem ptaków mieć chcą—sokoła mu do boku, niby hetmana, dodając, ale i gęś wysoko sięga, choć lot ma ciężki, zwłaszcza gdy poczciwa i tłusta... Żali nie gęsi Kapitolum ocaliły? Żali nie przez pióra gęsie spływały zawdy katarskie zdroje? Lada chłystek w kołpaczka sobie pióro upnie i puszy się, a pióro gęsie w rękę męża, albo li za uchem znaczy: lubo kanclerską godność, lubo kronikarską uczoneść, lubo pisarską szarzę... Czemby był imć pan Rey bez pióra gęsiego! albo pan Jan z Czarnolasu? albo Zagłoba, który i do chana krymskiego i do Stambułu listy (że o sułtanach nie wspomnę) pisywał?... Uczyniły tę cnotę narody, które, jako z orła Jowiszowego, tak z gęsi Apolinowego ptaka uczyniły. Owóż od gęsi i gęśle brzmiały i gąśliczki śpiewne ród swój wiodą, a najcnotliwsze naczynie, którem jest gąsior (byle nie pusty!) także imię swoje gęsiemu hetmanowi zawdzięcza. A jako zawsze źli i niecnotliwi ludzie bywali, tedy i gęś postponując, wodę (brr!) gęsiem winem, a turmę—gąsiorem nazwali. Ale się one wydziwiają cnoty nie imają, jako pył sprośny łabędziego pióra. I po wsze wieki będzie gęś ptakiem godnym i zacnym, zwłaszcza gdy pieczona...

Poruszył się niespokojnie na zydlu pan Zagłoba i pociągnąwszy nosem w stronę kuchni, mruknął:

— Dziw, że mnie dotąd nie zalata?... Żaliby i tam zapomnieli *die undecimo novembris*?... Muszę tę rzecz spenetrować!..

A uderzywszy kanclerską dłonią po stole, tak konkludował:

— Tedy, jakom to rzekł odrazu, listopad — miesiąc najcnotliwszy, bo ma i w herbie św. Marcina i chęciom poczciwym upust daje, godami przy-

stojnemi melankolię spędzając... A zaś gęś, jabłkami nadziewana, najprzedniejsza!... Żeby jeno, taki syn, kuchta nie zapomniał!...

XIV.

R o r a t y.

Owóz zimą ustaliła się rychło tego roku, a po Matce Boskiej Śnieżnej biało było na świecie, jakobyś puchy łabędzi rozesał na polach.

Las stał cały w szronach, niby w bisiorach drogich, a okiść stroszyła się na gałęziach wiechą, niby one kity u kołpaków, kiedy chorągiewka legnie w zasadzce i stoi zakryta krzami, jeno się pióra kołyszą.

Chodziły zasie polami i onym borem oszroniałym wichry i tumany śnieżne, już to dmuchając zamiecią, już to kręcąc zawieruchą, już to hukając i wyjąc, jakoby stado wilków, już to zawodząc jakowymś płacziwym lamentem.

Ranek był mroźny i szary, kiedy pan Zagłoba wracał saniami z roratów. Sanie szły kopną drogą, konie parskały na mróz, pacholik z bata klaskał, a pan Zagłoba trzął się i jeżył w lisiurze, od czasu do czasu przez zaciśnięte zęby wołając:

— A walże batem po łbie licowe, pogański synu! Widzisz, jako luzem chodzą, a sanie jakoby mucha w śmietanie grzęzną... Zagłobę wiesz, tedy jakobym rzekł: „Cezara wiesz”, chociaż ty tego, chacie, nie rozumiesz... A patrz, jakobyś bryły lodu nie przywiózł... Całkiem mnie mróz do kości

przejął!... *Rorate coeli!*... A jako Hagar na puszczy kropli dżdżu, tak ja oto pragnę — gorzałki... Żem też, *vir tam peritus*, o jakowymś likworze nie pomyślał!... Miód teraz na nic! Nie masz zasie na rozgrzewkę, jako *aqua vitae*.. A najlepsza będzie na pieprzu, alboli piołunie...

I znów trzął się pan Zagłoba, wołając:

— A nie żałuj bata, taki synu, bo zgoła zmarzną!

Potem, łagodząc głos, nagle żałośliwie począł: — Maciek!... Pomnisz, jakom ci ongi, kiedyś takim oto bakiem był, kukielkę z jarmarku przywiózł? Możesz ty mi i brat mleczny, bom mamek kilkoro miał, od małości wielkim smokiem będąc... Maciuś! powiedz! masz li gorzałkę, choćby siwuchę, bo chamska gęba wszystko zniesie? Jeśli masz, tedy daj, a o szarży hetmańskiej i dostojęństwie zapomnę i wypiję. Nie godzi się zasie brata mlecznego zostawiać, żeby zmarzł, bo ciebie i kozuch grzeje i batem setnie na rozgrzywkę machasz. Zaś to sobie rozważ, jaki ztąd splendor na ciebie spłynie. Z dziada pradziada chamek byłeś, a przez siwuchęomal że się nie uszlachcisz. Zali byś ojca swego, albo matkę *in periculo* opuścił? A zważ, jako parantella przez krwie nie taka jest mocna, jako przez gorzałkę... chciałem rzec przez mleko... Zaliś słyszał, jakoby kto krwie pijał?... Bydlęta jeno i dzikie zgoła hordy takim specyalem nie gardzą. A zaś mleko byle bak pije i jeszcze się oblizuje... Po prawdzie podły to napój i jeno dla baków, cieląt i białych głów w sam raz, ale zawszeć lepszy, aniżeli krwie, albo woda... Tedy, Maciuś, pomyśl i daj mi siwuchy. Jakibyś ty chłop był, żebyś bez gorzałki w drogę jechał?... Maciuś!...

Ale Maciek, jak się okazało, gorzałki nie miał i pan Zagłoba całkiem sposepniał.

— Mówiłem zaraz, jakoś ty prosty cham i taki syn. A zaś com o braterstwie mlecznem gadał, to *per locum*... Bom się na sułtańskim dworze chował i sułtanki mi mamkami były... Tedy mnie i sułtanem obwołać chciano... Ale mróz!... Żebyż to taki czas!... Chyba o „białych świątkach” rozmyślać będę, bo czasu adwentu śledziem serca nie rozgrzejesz. Mam ci ich cały ahtelik, ale kiepska to ryba, i tę chyba jedną cnotę ma, że pragnienie grzechne budzi. Na świątki to sobie już pofolguję, bom na dżdże niebieskie godnie czekał w skrusze i umiarkowaniu. Ale cóż? Polewki migdałowej nie lubię, bo to do niczego i tylko mdli. Chybaby piwną zadysponować, choć to nie przystoi. Ryba — niezła, zwłaszcza szczupak z chrzańem, albo i inna w sosie szafranowym. Dziwne to boskie stworzenie, co całe życie w wodzie spędzić może... Tedy je potem gęsto korzeniami przekładać trzeba, żeby pocziwego smaku nabrało. A zaś i podlewać trzeba winem, albo miodem, aby choć w człowieku godny koniec znalazło. Tedy już starożytni Rzymianie mawiali: *post pisces vinum — misces!*... Zaś potem kapusta z grzybami najlepsza, bo one łamańce z makiem i miodem, albo śliwki suszone, to jeno dla białych głów się nadadzą. Żadne to zgoła jedzenie, chyba przy miodzie zakąsić...

Nagle z zadumy rozbudziło pana Zagłobę mocne trzaśnięcie z biczą i zątoczenie się sani.

— Trzymaj, bo wywalisz!—ryknął pan Zagłoba, ałiści spostrzegł, że jest już przededworem.

Tedy poczył się co sił gramolić z sani, a szcękając zębami z mrozu, już od ganku krzyczał w niebogłosy:

— Gorzałki!... I w mig polewkę grzaną podawać!... Całkiem mnie mróz przejął!... Ledwem

się w kukłę lodu, jako żona Lota w słup soli nie przemienił... Tedy mi śledź całkiem obrzydł!... Gorzałki!..

LATARKA DYOGENESA.

Stary cynik, Dyogenes Pontyjczyk, został takim samym z tamtej, jakim był z tej strony Styksu. Zabrał z sobą na pola Elizejskie i brudny chiton w łachmanach, i beczkę pustą, i historyczną latarkę, z którą szukał człowieka i całą wreszcie „psią” pogardę dla wszelkich spraw pozornie „ludzkich.”

Szukać jednak człowieka nie zaprzestał, albowiem przywykł jakoś do tego, a niepowodzenie sprawiało ma złośliwą przyjemność. Co dnia tedy zapalał uroczyście latarkę i szedł krążyć pomiędzy cienie, uganiając się za ludzką „psyche.” W Atenach nauczył się wielbić piękno, które kowała sama natura grecka i życie greckie wśród białych kolumnad, ciemnych gajów laurowych, w oprawie turkusowego nieba i fal turkusowych morza, szmaragdu łąk i różowych smug olimpijskich szczytów. Widział też, jak owo piękno form ucieleśniało się pod dźwiękiem fidyaszowem w marmurze i stawał olśniony wobec czystości linii i prostoty rysunku. Czyż dziw, że chciał znaleźć równie piękną „psyche,” z taką linią czystą i bez skazy?...

Ale kuźnie Sokratesów, Platonów i Arystotelesów nie stworzyły Zeusów olimpijskich, ani Apolinów łuczniczków, ani Afrodyt złotowłosych, ani Aten „sowio-okich...” Psyche była w dzieciństwie tu krzywa, tam mizerna, owdzie z garbem, albo z jakim skrzywieniem obojczyka.

Mówił tedy z czystym sumieniem Dyogenes:

— Nie znalazłem człowieka!

I tu z tej strony Styksu przez wieki całe wiodło mu się nie lepiej. Były psychy najrozmaitszego pokroju, i mniejsze, i większe, i dziecinne, i dojrzałe, ale „psychy” prawdziwego człowieka bez skazy nie było.

Więc wracał co dnia Dyogenes nad brzeg Styksu, zdmuchiwał miarkę ze złośliwym uśmiechem i zasypiał na słomie w swej pustej beczce, owinąwszy się szczelnie w brudny chiton, aby go wietrzyńska elizejskie po kościach nie rozbierały.

Czasami jednak, trapiiony bezsennością, szedł na gawędę do Charona. Siadały wtedy dziady na urwisku nadbrzeżnym i gładząc siwe brody, gwarzyły o tem i o owem. U stóp ich szumiały sennie czarne fale Styksu, cerber brzękał łańcuchem i ziewał w swej budzie, a oni gawędzili, wspominając dawne dzieje, jak to jest obyczajem starości.

Pewnego razu Charon zagadnął Dyogenesa:

— No cóż, znalazłeś człowieka?

Dyogenes machnął ręką.

— Bodaj mnie cerber pokąsał, jeżeli łzę, ale nie...

Cerber kiwnął głową pobłażliwie.

— Żłes szukał!

— Ale, źle!... Jak igły w stogu arkadyjskiego siana. Ludzi widziałem, ale człowieka, jako żywo, nie.

I bił się w wyschłe piersi, klnąc zapamiętałe:

— Na Plutona i Radamentesa! Bodaj mi tak kiszki poskręcało! Bodajbym się Letą zachłysnął! Bodaj mi bebechy...

Charon wciąż kiwał głową.

Paskudną masz gębę, mój Dyogenesie, ale od tegoś przecie cynik! Za to będziesz miał uciechę, kiedy ci powiem, że już nie potrzebujesz szukać.

— A to czemu? — spytał niespokojnie Dyogenes.

— Bo teraz tam—wskazał ręką za Styks—ludzi wcale niema.

— Jakże to? Niema ludzi... A któż tam jest, na włócznię Artemidy? Same zwierzęta!...

Charon mrugnął okiem tajemniczo i rzekł krótko:

— Nadludzie!

— Co? jak? Nadludzie? Hyperantropoj? Co to takiego? — dopytywał zaciekawiony Dyogenes. — No, to musiał być chyba przedtem człowiek, żeby był potem nadczłowiek.

— A widzisz? Musiałeś oczywiście przeoczyć!...

— Gadaj zdrow! Ziarnko gorczyczne w morzu byłoby się ładniej ukryło. Ażem latarkę sobie zepsowałem. Ale, jak „to” wygląda?

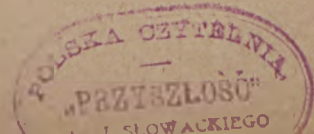
„To” miało być nadczłowiek.

— A... no... — zakłopotał się Charon — jakby ci tu wytłómaczyć... Oto wyobraź sobie — naga duszę!

Dyogenes omal nie spadł do Styksu ze zdumienia.

— Hę? Co?... Niedosłyszałem? Naga dusza, naga psyche, naga, powiadasz? To niby jak?... Może jak tu, w Hadesie?

— Niezupełnie tak. Tam zostało jeszcze trochę kości i mięsa, ale taka psyche płonie sobie w skórce, jak ogarek w pergaminowej latarce...



Dyogenes kiwał głową zdumiony.

— No, no! Na Zeusa, to dziwniejsze od mojego oskubanego koguta, którego dałem jako przykład „człowieka Platona...”

I nagle zaczął błagać:

— Mój Charonie, mój Charonku, mój Charoneczku, zrób mi łaskę i przewieź choć na chwilę na tamten brzeg, abym taką nagą duszę i takiego nadczłowieka zobaczył...

A tak gorąco błagał, tak argumentów dobierał, że Charon, mimo wyraźnego zakazu Minosa, ukradkiem go do łodzi wpakował i na drugi brzeg Styksu przewiózł.

Gdy przybyli, Charon trącił cynika w ramię i rzekł:

— No, teraz patrz do woli. Oto nadludzie i „nagie dusze” przed tobą.

Dyogenes spojrział i zdumiał się. Spostrzegł istoty o łbach dużych, wylsiałych i rozczochranych, jak u Meduzy, o szklach w oczach, o karkach zgiętych, piersiach zapadłych, nogach cienkich, rękach długich, jednym słowem w zestawieniu z fidyaszowemi wzorami—potwory.

Tedy splunął i nieznacznie rzekł:

— Na Zeusa i Atenę, to mizerniejsze od mojego oskubanego koguta!..

I uczynił za sobą znak na odpędzenie złego omenu, albowiem, jako szczerzy filozof, był przesądny wielce.

Pociągnawszy zaś za chiton Charona, wyrzekł:

— Mam tego dosyć!

Skoro powrócili, udał się Dyogenes do swojej beczki, zgasił skrupulatnie latarkę i chciał ją utopić

w Styksie, ale się rozmyślił i oddał ją Charonowi, ile że został mu dłużny od pierwszej podróży okrąglego obola, a procenty rosną i na polach Elizejskich.

Potem napił się parę przygarstek Lety, aby zapomnieć o nadludziach, wśród których ani myślał szukać—człowieka...

KLEPSYDRA.

Sędziwy Chronos podparł siwą brodę pięściami i patrzył wypłowiałem okiem na klepsydrę, w której ostatnie krople z cichym pluskiem spadały do dolnego przedziału. Obok gorzała lampa, przyskajac i wybuchajac czasem płomieniem, przyczem oblewała jaskrawem światłem górną część klepsydry, podczas gdy dolna nurzała się w ruchomym cieniu. W blasku lampy górna zawartość klepsydry rozpalala się w tęczce i dyamenty, a każda opadajaca kropla plonęła niby gwiazda, nim utonęła w ciemności.

Chronos gonil roztargnionemi oczyma te gwiazdy i usmiechal się zagadkowo.

Wtem z głębi Hadesu wynurzyła się postać cynika Dyogenesa i stanęła za plecami Chronosa. Filozof psiej natury oddawna już zdziadział do szczętu. Nagie swe członki otulał w obszarpaną i wytartą chlamydę, bo mu starość po kościach strzykała; kosztorem się podpierał i palec nad latarką od czasu do czasu rozgrzewał.

Humoru jednak nie tracił i stanawszy za Chro-

nosem prawicą go po ramieniu uczciwie trzasnął, zagadnąwszy znienacka:

— Cóż, stare próchno?... Kapie?...

Chronos się zachnął, obejrzał za siebie i ze złością zawołał:

— A kapie, kapie, ale już nie dla ciebie, stary kpie!

Dyogenes nigdy nie zostawał dłużny w odpowiedzi, więc rzekł:

— Jeślim kiep, to po starszeństwie tyś większy, bom ci albo synem, albo wnukiem, alboli prawnukiem...

— Dla psa taka parantela! — odburknął Chronos.

Dyogenes śmiał się wesoło:

— Na Hekatę, a toś mi dogryzł!... Alboż nie wiesz, żem sobie psa do herbu wziął, bom psa widział i poznał, a człowieka nie. A że mi z tej klepsydry coś zawsze ukapało, więc do kuzynostwa się poczuwam, jako wszelka żywa a choćby nieżywa istota. Tedy się, stary, nie gniewaj i powiedz raczej, czego ty tak słęczysz?

— Ano—mruknął udobruchany Chronos—trzeba w porę klepsydrę odwrócić.

Potem splunął i rzekł:

— Psia służba! Bez początku i końca...

— Jużci psia!... Ale, gdybyś tak klepsydry nie przewrócił, chybaby się świat też nie przewrócił?... Czasby sobie płynął i płynął, a tybyś miał słodki wypoczynek.

— To się wie, ale jakoś przystoi czas mierzyć. Ludzie, nie widząc ani początku, ani końca, radziby uchwycić choć środek.

— A gdzież on jest?—zagadnął ciekawie Dyogenes.

W tej chwili mignęła jasna gwiazda w klepsydrze i zgasła.

— Widziałeś?—spytał Chronos.

— Mignięcie?... Ano—widziałem.

— To jest ów środek, a zowie się terazniej-szość.

— A jakże ją ludzie chwytają?

— No, chwycić mogą, ale nie uchwycą, bo jej zgola nie ma?

— Jakże to?—zawołał Dyogenes.—A tam, gdzie spadła?

— Tam już przeszłość.

— A tam u góry, gdzie tkwiła?

— Tam przyszłość.

Dyogenes pokiwał głową i jął się uważnie przyglądać górnej części klepsydry, z kąda wciąż tryskały tęcze i kapały gwiazdy.

— Rzekłbyś topione złoto! — mruknął do siebie.

Chronos uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Taką zwykle wydaje nam się przyszłość. Jakoby ją tkąła Iryda, albo sam Wulkan kował ze złota Plutosa. A chcesz-li zobaczyć, co to jest, tedy zbliż swoją latarkę do dołu i patrz!...

Dyogenes uczynił to, ale się skrzywił i rzekł pogardliwie:

— Mętna woda!

— Otóż to, a gdy ją odwrócę, znów skrzyć się i połyskać będzie tęczą różnobarwną.

Teraz uśmiechnął się Dyogenes złośliwie i wskazał ręką:

— A ci, niby ludzie, tam, myśleć będą, że to znów tęcze, gwiazdy i wszystkie skarby Amfitrydy!... Głupi!

— Albo i ty takim nie byleć?

Dyogenes pomyślał chwilę i rzekł z przekonaniem:

— Byłem!

Potem zaczął znów przyglądać się bacznie wodzie w dolnej części klepsydry i badał:

— To ty tę samą wodę przewrócisz i ona znów kapać będzie.. Więc czas powraca?

— Czas nie powraca, ale wypadki powracają i wszystkie twory z tego samego mułu się lepia... Cóż chcesz, nic nowego pod słońcem!

— Fiu! — mruknął Dyogenes — taki z ciebie filozof.

Potem niespokojnie się poruszył i zapytał:

— A może tam jest nowy Dyogenes?

— Może!...—uśmiechnął się Chronos.

— Ale ręczę, że gorszy! — rzekł stanowczo cynik.

— I zapewne masz rację, chociaż bowiem czas płynie wiecznie ten sam, bez zmiany, twory w nim zatopione karleją. W mojej klepsydrze wylot mułem oblega i gwiazdy coraz drobniejsze spadają.

Nagle Dyogenes pochylił się nad dołem klepsydry, a w blasku jego latarki strzeliło kilka oderwanych smug tęczy.

— A to co?—zapytał zdziwiony.

— To — objaśnił Chronos — nalot na szkle z przeszłości... Takie tęcze tryskają tym, których oczy powlekły się mgłą starości i dla których w górze klepsydry już kilka tylko kropel zostało.

Nagle stała się rzecz dziwna.

Dyogenes zadumał się i szeptał cicho, jakby do siebie:

— Czy wiesz, Chronos, oto widzę macierz i dom wśród oliwek nad brzegami Pontu... I widzę Melitę, taką różaną, jak Heos wschodząca, gdy stopą z marmuru rozbija pełne łuski złotej chłodne fale Illisu... Na Afrodytę! rzekłyś sama Anadyomene zstąpiła do oliwnego gaju...

I patrzył chciwie w iskrzące tęcze nalotu przeszłości, nie słysząc, jak z szelestem spadały ostatnie gwiazdy-krople i nie widząc, jak Chronos sięgał ręką ku klepsydrze, ażeby ją odwrócić... Choć znał tajemnicę przemiany gwiazd na szarą, mętną wodę, pił jednak pożądliwie odbicie zgasłej tęczy...

KŁAMSTWO.

Przed tronem Zeusa na Olimpie stanęła naga Prawda i rzekła:

— Oskarżam!...

Była zaś cudnie piękna czystością i powagą linij, więc bogowie spoglądali na nią z podziwem i uwielbieniem.

I stała tak Prawda z namarszczoną brwią i błyskiem przenikliwych oczu, prawie groźna, przed tronem Olimpijczyka.

Oskarżonem było Kłamstwo. Stało i ono tu w chlamydzie i chitonie, suto lamowanym szychem, z oczyma biegającymi niespokojnie i błędzącym uśmiechem ironicznym na ustach.

A Prawda wyciągnęła ku niemu prawicę i mówiła:

— Oskarżam!...

Zeus brew namarszczył.

I oto zdało się, że czarne fale oceanu piętrzą się burzą, a chmury przecina błyskawica. Orzeł u stóp boga bogów nastroszył pióra, wyciągnął dziób, a w szponach jego groźnie zahuczały pioruny.

I rzekł Zeus grzmiącym głosem:

— Mów!...

Prawda zaś tak oskarżała:

— Otom ja poszła na ziemię, aby tam rządzić i panować. I niosłam ludziom szczęście, a ten, któryby mnie posiadał, mógł stać się równy bogom Olimpu. Lecz, zaprawdę, niemasz takich, albowiem Kłamstwo krzyżuje mi drogi. Oto każe ludziom błędzić, ono ich unieszczęśliwia, ono rodzi fałsz i obłudę, ono niszczy moje panowanie. O, bogowie, wy, którzy uwielbiacie Prawdę, ukarście je i nie pozwólcie mu chodzić po ziemi. Bogowie, potępcie Kłamstwo!

Skończyła, a Zeus spojrział po reszcie bogów i rzekł.

— Czekam waszego zdania.

I stała się rzecz dziwna.

Muzy łamały ręce ze zgrozą, ale, zmieszane nieco, nie odzywały się wcale, Apolin zaś, lekko uśmiechnięty pod słonecznymi kędziorami, stroił swą lutnię i milczał.

Hermes, który jest bogiem handlu, przypasywał pilnie do nóg skrzydlate sandały i udawał, że nic nie słyszy.

Ares, choć czasem aż do brutalności śmiały, brząkał mieczem o tarczę i także milczał.

Pluton rachował pieniądze, Hefajstos skarżył się na strzykanie w nodze, Afrodyte śmiała się

złośliwie, a tylko sowiooka Atene odezwała się cicho:

— Żali prawda dostępna bogom i ludziom?

Tymczasem Hera, pochylona na ramieniu Zeusa, szeptała Olimpijczykowi coś do ucha, a ten mienił się i gasł na twarzy.

A Prawda wciąż powtarzała:

— Potępcie Kłamstwo!

Chwilowo zaległa cisza, gdy oto obrony Kłamstwa podjął się cynik Dyogenes.

Rzekł on tedy:

— Miłowałem Prawdę i Mądrość, jako to obowiązek filozofów. A żem jej nie ubierał w szychy, tedy mnie psem nazwano, Sokratesa cykutą napojono, a Anaksagora wygnano. Ale też wiedział, że Kłamstwo noszę w sobie, boście mi, bogowie, dali zmysły, które mnie myślą i oszukują. Szukałem prawdy w człowieku i moc sobie latarek napsowałem, ale i człowieka takiego i prawdy nie znalazł. Tu zaś Prawdę pierwszy raz widzę i dziwuję się, bo na Zeusa, jeśli jest między wami, to w was także i z lartarkąby się jej nie doszukał...

Tu zakrzyczano cynika, że bluźni, tylko sowiooka Atene słuchała uważnie i nie przeczyła.

A Dyogenes zaś tak rzecz swoją dalej prowadził:

— Ludzie zatracili granicę pomiędzy Kłamstwem a Prawdą, bo wszystko ich w błąd wprowadza: i zmysły, i przyrodzenie, i wy, bogowie, z mądrą i surową Parthenos na czele. Prawdy się nie raz boją, albowiem staje przed nimi groźna, z błyskawicznym obliczem i chłodnemi, bez współczucia oczyma. Temu zaś, co Prawda mówi, jakoby zawsze ludzi szczęśliwymi czyniła, nie wiercie, bo oto, powiadam wam, skłamała. Byłem raz u łoża konają-

cego, Parka ujęła już nożyce, Eskulap rozbił swą czarę węzową o ziemię, a z oczu gasnących ulatywały ostatnie iskry życia. Wtedy stanęła przed konającym ta piękna, surowa i bezlitośna Prawda. Wpiła ona swe jasne chłodne źrenice w oczy umiarkowanego, a na bladym obliczu półtrupa odbiło się przerażenie i zimny pot kroplami uperlił mu czoło. Aliści odtrąciło Prawdę to niepozorne i potępione Kłamstwo. Nachyliło się nad konającym i szeptało mu chwilę do ucha. O bogi, czemu nie widzicie tej radosnej rozkoszy, którą ja wtedy widziałem na kamieniejącej twarzy! Kłamstwo uśmiechało się ironicznie, lecz stały wtedy obok niego Litość i Nadzieja... Zaprawdę, kto wtedy czynił szczęśliwym?..

Pomyślał przez chwilę cynik, a potem mówił dalej:

— Jam pies, ale mi wtedy Kłamstwo litośne wybiło zęby. A widziałem je takim i u Salaminy, i na polu Maratońskim; widziałem je innym, ale nie gorszem i pod portykami w szkołach filozofów i u Homerów, i u Fidyaszów, Praksytelesów i w pracowni mistrzów, i poetów, i między dwójkiem ust zakochanych, jak płomienną różę... A choć oszukiwało, zowiąc się nieraz prawdą, dawało często rozkoszną złudę i złudzenie szczęścia. Zali je i takim potępicie?..

Zeus pochylił głowę, a bogowie milczeli.

Kłamstwo zaś stało uśmiechnięte przekornie, z biegającymi oczyma, świecąc tryumfalnie ludzaczemi blaskami szychu na swym chitonie. I tylko Prawda surowa, zimna, nieubłagana powtarzała uparcie:

— Potępicie kłamstwo!..

S Ł O Ń C E.

Cynik Dyogenes, siedząc po staremu przed pustą beczką za Styksowymi wodami, lubił rozpałmiętywać swoje życie i czyny.

Pijał on po prawdzie Letę, ale że wedle zwyczaju czerpał przygarścią, tedy mu woda przez palce przeciekała i ledwie jaka kropla w gardło wpadła, pamięci zbytnio nie osłabiając.

Filozof psiej mody czuł się dobrze w krainie cieniów, jeno za słońcem wzdychał.

— Tam byle pies—mawiał—na słońcu się wygrzewa, a tu, w ciemności, stare cielsko na nic zwędnie. Taka-ci gorsza psiej dola! Jeno psi wyrzutek, Cerber, wytrzymać może, a i ten z wściekłości łańcuch zrywa.

I obiecywał poskarżyć się Minosowi, że jeśli inne ludzkie cienie mogą sobie błaznić omackiem, to on filozof psiej natury protest zakłada i wóz słoneczny Apolina choć raz na dzień obaczyć pragnie.

Pewnego razu, gdy Dyogenes pogrążony był we wspomnieniach, przyczłapał do niego sędziwy Charon.

Dziady jakoś wielce przystały do siebie i bardzo często odwiedzały się wzajemnie, gwarząc o tem i o owem.

— Witaj mi, ty stara kukło, szczerbaty Cerberze Cerbera! — powitał Charona pieszczotliwie Dyogenes.

— Jak się masz, filozofie psiego ogona! — odkrzyknął Charon.

— Jakbyś zgadł—mruknął Dyogenes—byłem zaiste głupszy od psiego ogona.

A wpadłszy w zadumę, tak prawil:

— Ano, głupi byłem, jako cap! Ale nie dziwota—młody byłem, bo mi ledwie na osiemdziesiątkę klepsydra się obróciła, a człowiek powinien całą wieczność przeżyć, aby jaką taką mądrość osiągnąć. Ezop powiedział, że człowiek chodzi najpierw na czterech nogach, potem na dwóch, a w końcu na trzech, ale mnie się zdaje, że on wciąż chodzi na czterech nogach, najprzód jako prosię, potem jako cielę, potem jako wół, że już nie powiem co gorszego. Najlepiej jeszcze, jeżeli choć zarwie trochę psiej natury.

Westchnął ciężko Dyogenes i rzekł:

— Głupi byłem!

— Jam to zawsze powtarzał!—przytaknął złośliwie Charon.

— Stul pysk, ty pacholku Hadesu, ty podmiataczu Cerbera!—wrzasnął w złości Dyogenes. — Przed tobą filozofować, to jakby kto perły przed świnię rzucał.

— No, no!—uspokajał go Charon.—Paskudną masz gębę i paskudną nieraz filozofię, ale filozofuj. Słucham!

— Tedy jak ten furfant „boski Plato” będę ci stawiał pytania.

— Stawiaj.

— Powiedz mi więc: kiedy byłem najgłupszym?

— Kiedyś szukał człowieka.

— Zaiste nie, albowiem wtedy ulegałem tylko złudzeniu.

— Kiedyś psią modę zalecał.

— I to nie, albowiem wtedy byłem najmędrszym.

— No, to już nie wiem.

— Tedy ci powiem. Pamiętasz, jako mnie niegdyś Aleksander Wielki odwiedził. Stał mi przed beczką, oparłszy się na mieczu, którym węzeł Gordyjski rozciął, i zapytał, czego bym sobie najbardziej życzył, A jam mu rzekł: Nasuń się, albowiem zasłoniłeś mi słońce. Wtedy byłem najgłupszy.

Charon chrząknął i mruknął:

— No, no! nie myślałem, abyś ty, zalecając innym pogardę rzeczy ludzkich, sam ich teraz żałował. Pragnałeś tedy złota?

Dyogenes uśmiechnął się złośliwie.

— Dzięki ci, sowiooka Atene, są bowiem głupszy odemnie, a Charon z nich najgłupszy.

— No, toś może przestał wdychać do słońca—rzekł Charon, trochę dotknięty.

— Jeszcześ głupszy! Ale ci rzecz jasno wyłożę: Otom był głupi, jeżeliś sądził, że Aleksander wraz z całą swoją wielkością może mi zasłonić słońce. Żebyś ty wiedział, jaki on był dumny z tego przypuszczenia, jak mu twarz promieniała i jak się łaskawie usuwał... A przecież złotowłosemu Apolinowi dość było wozem ruszyć, aby jarząca pochodnia spłynęła ponad tę wielkość mizerną—ludzką. Odtąd myślałem sobie długo, dlaczego ja powiedziałem wtedy takie kapitalne głupstwo. Przecież widział, jak złość ludzka usiłowała nieraz rzucić zasłonę na twarz Apolinową i jak karle plemię Ikarów rwało się tam, kędy Fojbos ognisty płonie; jak przeróżne wielkości wpatrywały się w swój cień długi, pytając głupich Dyogenesów, ażali nie zasłaniają im słońca, a ono oko dnia, ognisko świata, źródło przedwiecznego światła, przędło swe promienie niedościgłe, niedosiężne, niezgaszone...

Charon aż przysiadł z zachwyty i zaklaskał w dłonie.

— Cyniku Dyogenesie, otoś mnie pogodził ze swoją filozofią! Zauważyłeś, powiedziałeś wielką prawdę. A ja, którym patrzył na wiele rzeczy dawnych i współczesnych, to ci zaś powiem, że tam, z drugiej strony Styksu, gdzie błędzą jeszcze pod słońcem niedojrzałe dla pól Elizejskich cienie, teraz szczególnie rozmnożyła się megalomania i mania gaszenia słońca. I chodzą ci tam owe wielkości, jedne w przeświadczeniu, że same grzeją i świecą, inne, że byle pikielhaubą zasłonią przezyste źródło światłości. A tymczasem słońce przedłuża jedynie cienie, aż dotkną one styksowej fali, a ja zapytam o obola. Słońce zaś, jak chodziło, tak chodzić będzie, jak świeciło, tak świecić będzie ponad ludzką wielkością i ponad ludzką żelazną przyłbicą.

Westchnęły dziady, a Dyogenes jeszcze raz powtórzył do siebie, jak echo:

— Czemuż ja wówczas taki głupi byłem!...

Z BAŚNI EZOPA.

Ezop wylegiwał się w słońcu, wielbił bowiem zawsze ów złoty wóz Fojbosa, który sieje światło i ciepło na ziemię, a nadto czynił zadość wrodzonemu lenistwu.

Towarzysz jego, niewolnik Kratias, rąbał drwa figowe i ocierając pot z czoła, rzekł.

— Na czarną Hekatę! czemu ty leniu garb swój wygrzewasz, kiedy ja czekam potem. Ażaliś nie taki niewolnik, jak ja?

Ezop poruszył się leniwie.

— Nie zupełnie taki. Ty masz siłę w pięści' a ja w głowie.

— To rąb głową!

— Rąbię, ale nie drwa.

— No, to ci za to grzbiet tego wyrąbie pan, który cię nie po to kupił, ażebyś się w słońcu wylegiwał.

Ezop ziewnął.

— Kupił?... Jużem ci mówił, że to ja kupilem sobie pana.

— Żeby ci grzbiet garbował?

— Nie, żeby mnie karmił. Mam zbyt wiele do myślenia, abym się o takie głupie rzeczy troszczył.

Kratias uśmiechnął się złośliwie.

— A tak! masz do myślenia, ażeby się wykpić od roboty... Pamiętam, jakieś to dźwigał w podróży pana ciężki kosz z chlebem. My śmieliśmy się, ale, jak chleb zjedzono, i ty paradowałeś z pustym koszem, zrozumieliśmy twój wykręt. Ale teraz ci się nie uda. Wiesz, pan znów udaje się w podróż?

Ezop przeciągnął się niedbale.

— A dokąd?

Kratias oparł się na siekierze i prawil:

— A do Delf, składać ofiary bogom. Stenokrates, który podsłuchiwał, jak pan przy biesiadzie rozmawiał z przyjaciółmi, słyszał takie słowa: „Idę, i oto po drodze chcę czynić dobrze. Kto na mnie rzuci kamieniem, ja na niego chlebem.” I polecił wziąć podwójny zapas chlebów. Jak to usłyszałem, podjąłem się zaraz nieść kosze, choć są najcięższe. Wypredziłem cię, Ezopie, żałuj!...

I zaśmiał się śmiechem rozgłośnym i grubym.

Ezop słuchał uważnie i odezwał się nagle:

— A są tam po drodze kamienie?

— Jużci są, jak na każdej drodze, ale rzadko, bo będziemy szli gajami oliwnymi i łąkami. A jeśli pan mówił o rzucaniu kamieniem, to myślał chyba o tych, co noszą kamień za pazuchą, jak gomółkę, i walą nim, jak z procy... Tym zasie pan odrzucać będzie chlebem. Powiadam ci, nie ujdziemy i parę stadyj — śmiał się Kratias — a kosze będą próżne... Załuj!

...Ezop nie żałował, tylko milczał. Gdy zaś wyruszono w drogę, ujrano go, jak ugiął się pod koszem toczonych kamieni, których nabierał na wybrzeżu morskiem.

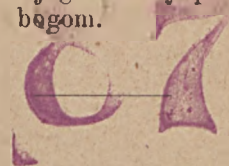
Niewolnicy śmieli się, a najbardziej Kratias, choć stękał pod ogromnym ciężarem dwóch wyładowanych koszów z chlebami.

Aliści nie uszli i paru stajań, gdy w gaju oliwnym napotkali pijanego Ksenostyasa, który zataczając się, potracił wypadkiem ich pana, a nadto, jako to bywa często z ludźmi, którym Bacches mógł zamącić, rzucił mu z pod nosa parę wymysłów bez związku. Pan uniósł się gniewem i zaczął się oglądać, ażali gdzie niema kija albo kamienia. Wtedy pod rękę nawinął mu się Ezop ze swoim ładunkiem. Pan chwycił dwa kamienie, co największe i najcięższe i cisnął je z rozmachem w pijanego, a Ezopa pochwalił za jego gorliwość i pilność.

Odtąd Ezop nie odstępował od boku pana a zapas jego kamieni malał co chwila. Spotykano bowiem po drodze nie tylko pijanych i obłąkanych, lecz zawistnych, krzywdzicieli, oszczerców i tych wszystkich, którzy jawnie, czy z za płota rzucają chętnie na innych kamieniem... Nie uszli też i dwóch stadyj, a kosz Ezopa był próżny, on zaś

szedł pogwizdując, a pan jego musiał się już posługiwać tęgim, wyłamany w gaju kijem z oliwy.

...Kratias tymczasem omdlewał pod ciężarem swych koszy, a białe jego ohleby przybyły w całości do Delf na objętę bogom.



GYNE.

Sokrates poraz tysięczny powtarzał formułę najwyższej mądrości, zawartą w słowach „*Gnoti seauton*” (Poznaj samego siebie), gdy właśnie weszła żona jego, Ksantypa.

— Na Zeusa! — zawołała, wymachując glinianym garnkiem, który trzymała w dłoni. — Otom najnieszczęśliwsza żona najmądrszego męża! On sobie siedzi spokojnie i дума, a mnie potrzeba pieniędzy.

Zali nie widzisz, że Demeter gaje oliwne już w nową szatę odziała, a mój peplon wytarty? Zali nie widzisz, że sandały mi się na nic zdarły?... Mamli chodzić odziana gorzej, niż Kleonika, której mąż jest tylko mularzem, ale jej pieniędzy nie szczędzi? Mają-li mnie palcami wytykać?... A przytem niema co do garnka włożyć. O czem ty myślisz, ty, ty, filozofie... niedołego?...

I ujęła się w boki, jako na prawą obywatelkę Aten przystało.

Sokrates zaś rzekł spokojnie:

— O mądrości.

— A mądrość co ci powiada?

— Że nie szata człowieka zdoobi.

- A co mianowicie?
 — Mądrość.
 — Gadaj tu z głupim!
 — Właśnie, skoro wiem, że nic nie wiem, przeto mądry.
- A więc głupi znaczą tyle, co mądry?
 — Tak jest, mędrzec znaczą czasami tyle, co głupiec.
- Tedy przyznaję ci, żeś mędrzec.
 Odsapnęła Ksantypa i rzekła dalej:
 — Owóż miał rację Arystofanes, gdy cię w „Obłokach” wyszydził.
- Arystofanes był błazen.
 — Arystofanes poznał się lepiej na tobie, niż ty sam.
- Bo też szczytem mądrości jest poznać samego siebie.
- Czemu więc do tego szczytu nie dążysz?
 — Owszem, dążę...
 — I znalazłeś w sobie?
 — Wielką cnotę: cierpliwość.
 — To ja ci więcej cnót wyliczę.
 — Słucham cię, niewiasto.
 — Jesteś tedy głupiec.
 — Już słyszałem.
 — I safandula.
 — Jeśli to pochodzi od słowa „sofia”, co znaczą mądrość...
- Pochodzi od safandula. co znaczą niedolega.
- Słyszałem.
 — Obol się ciebie nie trzyma.
 — Obol nie stanowi szczęścia.
 — Z głodu przy tobie umrzeć można.

- Śmierć znaczą wyzwolenie... Ofiaruj koga...
 — Chyba go ukradnę.
 — Zabraniam ci, kobieto.
 — Wprzód mi dasz pieniędzy. Bo, jeśli chcesz się obchodzić bez jedzenia i błędzić w chmurach, to twoja rzecz, ale ja muszę mieć peplon nowy, nowe sandały i nowy naszyjnik.
- Żono, bądź cierpliwa. Cierpliwość bowiem jest początkiem szczęścia.
- To ty bądź cierpliwy, mnie daj pieniędzy, bo jeśli nie dasz, tedy powiem, że sofści mędrsi od ciebie...
- Sokrates zerwał się nagle.
 — Kobieto!—zawołał niecierpliwie.
 — Że lepiej uczą od ciebie.
 Przynajmniej nauczyli Fiddiposa nie płacić długów...
- Żono!
 — Że Protagoras więcej umie od ciebie...
 — Niewiasto!
 — I Georgias także, bo bierze pieniądze i jaśniej wyklada od ciebie...
- Zamilcz!
 Ale Ksantypa nie myślała zamilknąć, lecz przeciwnie, podnosząc głos, wołała:
 — Tak, jaśniej wyklada!... Georgias jest większym od ciebie filozofem większym uczonym, więcej ma od ciebie talentów...
- Tego już Sokrates nie wytrzymał i wrzasnął:
 — Zamilcz, nieszczęść...
 Ale nie dokończył, gdyż oto uczuł garnek gli-

niany na głowie, a skorupy posypały się na ziemię, jakoby Zeus spuścił deszcz ceglany.

W onym zaś chaosie mędrzec słyszał nrywane słowa:

— A dasz na nowy peplon i sandały?... Co? jesteś cierpliwy, a nie chcesz słuchać prawdy, ubliżając jeszcze własnej żonie?... Ucz się cierpliwości, niedołęgo, albowiem cierpliwość jest początkiem szczęścia.

Ale Sokrates nie ocierał czoła i, schylając się nad zwojem, zapisywał metodę sokratyczną zasady filozofii życia:

„Szczytem mądrości jest poznanie siebie samego, początkiem zasie szczęścia jest poznanie własnej małżonki—byle zawczasu...”

DAR OLIMPU.

(BAJKA).

Ein junges Mädchen trat vor Zeus und flehte:

„Erhab'ner Gott! Du hast Beredsamkeit,

Des Worte Gewandte Uebung mir versagt;

Gib mir ein Mittel, Hoher, diesen gleich,

Chryсандers Liebesworte zuerwidern!”

„Du sollst ein besseres haben!”—sagt der Gott.

Und er hielt Wort, er schuff—den Kuss.

G. Bretisch.

OSOBY:

CHRYZANDER.

MELITTA.

EROS.

(Brzeg gaju z odstępniętym widokiem na okolicę; pod gajem kamień duży. Niebo się rumieni; swita).

Melitta (wylewa z czary wino na kamień).

Sprawiedliwe bogi, przyjmijcie ofiarę i wysłuchajcie mej prośby... Tobie, gromowładny Zeusie, i tobie, złota Afrodyto, i tobie, różowy Erosie.

Eros (rozgarniając gałęzie wysuwa się z gaju z po za ołtarza).

Piękna Melitto, prośba twoja będzie wysłuchana.

Melitta (cofając się).

Przestraszyłeś mnie, młodzieńcze... Myślałam, że to satyr lub sylen złośliwy. Kto jednak jesteś, że tak śmiało depcesz ten gaj poświęcony?

Eros.

Jakto, nie poznajesz mnie? Jestem—Eros!

Melitta.

Ach, Eros! Znam cię, różowy strzelcze — na moje nieszczęście.

Eros.

Na twoje nieszczęście! Czyżby Chryzander* przestał cię kochać?

Melitta.

O, nie!

Eros.

To ty chyba Chryzandra?

Melitta.

I to nie!

Eros

Więc cóż?

Melitta.

Chryzander mnie kocha, a ja Chryzandra sto- kroć więcej. Mimo to jestem nieszczęśliwa.

Eros.

Dlaczego?

Melitta.

Ach, srebrno-łuki Erosie, czy pomyślałeś kie- dy, że rany od twoich strzał bolą?

Eros.

A ty, piękne dziewczę, czy pomyślałaś również, że ból może być rozkoszą?

Melitta.

O, *athanatos*, to chyba dla was, nieśmiertelnych, lecz nie dla nas, biednych dzieci Deukaliona. Tam, na Olimpie, gorycz podnosi tylko smak słodczy.

Eros.

Klnę się na macierz moją, złotowłosą Afrody- tę, pięknie mówisz, Melitto!

Melitta.

Nie żartuj, *athanatos*. Dotykasz najboleńniej- szej mej rany.

Eros.

Na Zeusa, nie rozumiem.

Melitta

To jest właśnie mojem nieszczęściem, że nie umiem wypowiedzieć tego, cobym chciała.

Eros

A co chcesz wypowiedzieć?

Melitta.

Ile kocham Chryzandra.

Eros.

Ach, tak! A on czy ci to wypowiedział?

Melitta.

O, on co innego. Pieszczoną mową i w harmonijnym rytmie mówił mi to nieraz. Czułam wtedy, jak mnie kocha i czym jestem dla niego. Jeżeli jednak sama pragnę to uczynić...

Eros.

To co?

Melitta.

Napróżno, nie umiem!

Eros.

I co robisz wtedy?

Melitta.

Drzę cała i płonę...

Eros.

To także piękna wymowa.

Melitta.

O, *athanatos*, Chryzander snadź pragnie, abym mu miłość swoją wyznała wyraźniej, bo wymowy drzeń i rumieńca nie chce zrozumieć. O ja nieszczęśliwa!

Eros.

Uspokój się, Melitto, może jakoś zaradzimy twemu nieszczęściu.

Melitta.

Jakim sposobem?

Eros.

Nauczę cię wymowy miłosnej.

Melitta.

Czy podobna, słodki strzelcze?

Eros.

Przewyższysz Chryzandra.

Melitta.

O, to niemożliwe!

Eros.

Zobaczysz, piękna dziewczeczko. Czy wiesz, kto uczynił Chryzandra tak wymownym?

Melitta.

Któż to?

Eros.

Ja!

Melitta.

O, *athanatos!* Na moje nieszczęście.

Eros.

To też pragnę złe naprawić.

Melitta.

Czy tylko naprawdę będę dość wymowną?
Chryzander tak pięknie mówi. Cyt! to jego głos!...

(Głos *Chryzandra* z głębi):

Ledwie różanopalca Heos otworzy podwoje.
Gasną gwiazdy na niebie, lecz wiecznie oczy lśnią twoje.

Próżno boska jutrzienka wdzięki mi swoje odśłania,
Milszaś, dziewczę, i Heos nie zgasi mego kochania.

Melitta.

Czy słyszysz, *athanatos?* Jak gdyby uczył go
sam ślepiec Homer.

Eros.

Tak, tak, widzę, że Chryzander skorzystał
z nauki. Mówi bardzo płynnie.

(Głos z głębi):

Ledwie gwiazda ostatnia złote swe oczy zamruży.
Kielich w słońcu rozchyła rumiany kwiat wonnej róży.

Próżno jednak w purpurze przedemną róża się słania
Milszaś, dziewczę, i kwiaty nie wezmą mego kochania...

Melitta.

Słyszysz, *athanatos!*

Eros.

Słyszę, słyszę... Ale i my postaramy się o coś
równie ładnego. Bądź tylko pilną uczennicą, Me-
litta...

Melitta.

O, będę, będę!

Eros.

Więc słuchaj. Wypowiesz Chryzandrowi miłość
swoją harmonijnym heksametrem. On cię porównał
do różanopalcej Heos, ty go możesz porównać do
Apolina. A może wolisz do mnie?

Melitta.

Nie, niech już będzie do Apolina. Tyś jeszcze
dzieciak, różowy Erosie.

Eros.

Dobrze, nie jestem zazdrosny o Apolina. A te-
raz słuchaj i powtarzaj.

Melitta.

Słucham pilnie.

Eros (*po chwili namysłu deklamuje*).

Ledwie łucznicz Apollo otworzy niebieskie wrota...

Melitta (*powtarza*).

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota... O, słodki Chryzandrze, o mój jedyny...

Eros.

Co czynisz, Melitto! Nie śpiesz się, gdzież tu heksametr! „O słodki Chryzandrze, o mój jedyny” powiesz potem. Powtórz jeszcze raz (*deklujuje*):

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota...

Melitta (*deklujuje*).

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota...

Ale tu niema mowy o Chryzandrze? O, *athanos*, pozwól, dodam tylko „słodki Chryzandrze!”

Eros.

Popsujesz heksametr. A to z ciebie niecierpliwa uczenica! Poczekaj, będzie i o Chryzandrze, tylko recytuj wiersz z większym uczuciem.

Melitta (*uparcie*).

A możeby tak powiedzieć:

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół twoja, Chryzandrze, twarz złota...

Eros.

Melitto, w ten sposób nie nauczysz się nigdy. Przed chwilą mówiłaś, że ci brak wymowy, a teraz jesteś bez miary wielomówna.

Melitta.

Bo ja tylko przy Chryzandrze na wymowę zdobyć się nie mogę.

Eros.

Otóż widzisz. Jak się nauczysz przy mnie, wy, recytujesz potem śmiało wyznanie Chryzandrowi, który się dowie, jak go kochasz.

Melitta.

Więc mnie naucz ,prędzej, złoty Erosie.

Eros.

Tylko nie przerywaj, Melitto. Powtórzę ci raz jeszcze:

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota.

Melitta (*powtarza*).

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota.

Eros (*deklujuje*).

Próżno jednak Apollo boską mi twarz swą odsłania,
Milszys, luby, i bóg sam nie zgasi mego kochania...

Melitta (*powtarza*).

Próżno jednak Apollo boską mi twarz swą odsłania,
Milszyś, luby, i bóg sam nie zgasi mego kochania...

E, to nie jest takie ładne... Chryzandra piosenki są ładniejsze

Eros (*śmiejąc się*).

Wiem, wiem, Melitto! Chryzandra piosenki będą dla ciebie zawsze ładniejsze.

Melitta.

Nie gniewaj się, różowy Erosie, ale nie wierzę, abyś ty mógł uczyć Chryzandra. On tak z siebie nuci.

Eros.

Nie będę cię przekonywał, Melitto, ale wierz mi tymczasem, że twoja piosenka wystarczy. Tylko ją wypowiedz ładnie.

Melitta.

O, nic łatwiejszego (*deklamuje*):

Ledwie łucznic Apollo otworzy niebieskie wrota,
Gasi wszystko naokół jego promienna twarz złota.

Próżno jednak Apollo boską mi twarz swą odsłania,
Milszyś, luby, i bóg sam nie zgasi mego kochania.

Eros.

Bardzo dobrze!

Melitta (*z zalem*).

Ale to nie to!

Eros.

Co: nie to?

Melitta.

Nie to, cobym chciała powiedzieć Chryzandrowi.

Eros.

A cóżbyś chciała powiedzieć?

Melitta.

Ja nie wiem... Ale chciałabym odsłonić mu całą swą miłość, powiedzieć mu, że go kocham więcej ponad wszystkie bogi olimpijskie...

Eros.

Ho, ho, to ci nie dość Apollina? Jak widzę, robisz postępy w treść, chociaż ci jeszcze brak formy.

Melitta.

Ty żartujesz, Erosie, a jabym tak chciała, tak pragnęła...

Eros.

Wy, śmiertelni jesteście doprawdy nienasyćeni. Każdy z was chciałby być Prometeuszem

i skraść choć jeden promyk z Olimpu. Zostawcie coś nam, bogom... Wasz świat jest światem pragnień, pożądań... Ale to filozofia! Dajmy temu pokój i wróćmy do naszej lekcji wymowy. Więc Melitto, słuchaj dalej.

Melita (*nasłuchując*).

Ach, on tu idzie.

Eros.

Kto?

Melitta.

Chryzander.

Eros.

Wybornie! Wypowiesz mu zaświeża, com cię nauczył. Pamiętasz?

Melitta.

O, pamiętam.

Eros.

Zresztą będę ci z za krzaka podpowiadał (*chowa się za ottarz*).

Melitta

Jak mi serce bije!

Eros.

Tylko się nie pomył!... Śmiało!

Melitta.

Złoty Erosie, ja mu tylko dorzucę kilka nazw pieszczotliwych.

Eros.

Dobrze, ale jak skończysz wiersze.

Melitta.

Powiem mu: słodki, luby, miły Chryzandrze!

Eros.

Dobrze, dobrze! Tylko się nie oddalaj zbyt od krzaka, ażebyś mnie słyszała.

(*Wchodzi Chryzander, Melitta stoi zmieszana i powtarza pocichu wiersze*).

Chryzander.

Słodka moja Melitta wraz z jutrzeńką składa bogom ofiary.

Melitta.

Tak... Chryzandrze!

Chryzander.

Srebrnoluki Apollo, gdy wypłynie z za lasu, gotów porwać piękną Melittę.

Eros (z za krzaka).

Teraz czas, rozpoczynaj Melitto.

Melitta.

O, Chryzandrze...

Chryzander.

Czy słyszałaś, jak szepce wiatr poranny w świętym gaju? To nieśmiertelni bogowie podziwiają twoją urodę. Melitto! Mirt i laur pochylają się przed tobą, a róże błędną wobec twej krasy.

Melitta.

Chryzandrze...

Chryzander

Kiedym dziś w noc cichą, tam przy swoich stadach, patrzył w to lazuruwe niebo, złote gwiazdy uśmiechały się do mnie, kwiaty pieściły mnie wonią, las kołysał swym słodkim szumem, a nimfy w srebrnej mgły tumanach obsypywały mnie perlami rosy. Ale czem są te gwiazdy, te kwiaty, te cuda nieba i ziemi bez ciebie, Melitto? O, słodka moja, o jedyna, jak ja cię kocham!

Melitta.

Chryzandrze!...

Eros (z za krzaka)

Melitto, czyś oniemiała? Odpowiedz-że mu!

Chryzander.

Ale Melitta śnać marzy o niebianach, bo dla Chryzandra niema nawet ani jednego słówka do-brego.

Melitta.

Chryzandrze... ja... słyszałam twoje piosenki.

Chryzander.

Słyszałaś je, ukochana moja. Czy ci się podobają?

Melitta.

O... tak!... bardzo!

Chryzander.

Nauczył mnie ich las swym rytmicznym, harmonijnym szumem. Co dnia słyszę, jak Eol stroi tam swą śpiewną lutnię.

Eros (z za krzaka).

Niewdzięczny! o mnie zupełnie zapomniał!

Chryzander.

Chcesz, Melitto, powiem ci nową piosenkę (deklamuje):

W róży pszczoła ¹⁾ się buja, sam Eros przed nią się chroi,
Róża pszczołę zdobywa darem słodczy i woni.

¹⁾ Pszczoła po grecku: *melitta*.

Pszczola żądło swe chowa, w purpurę róży spowita.
Eros próżno się boi, nie rani słodka Melitta.

Melitta.

Chryzandrze, ja... także...

Chryzander.

Co, Melitto jedyna?

Melitta.

Ja ułożyłam także piosenkę.

Chryzander.

O, powiedz mi ją, powiedz...

Melitta.

Więc słuchaj:

Ledwie łucznik Apollo... *(miesza się)*.

Nie, nie mogę, nie pamiętam już...

Eros *(z za krzaka podpowiadając)*.

Ledwie łucznik Apollo otworzy niebieskie wrota... No, mówże dalej.

Melitta.

Nie mogę, nie mogę...

Chryzander.

A więc to do Apollina! Strzeż się, Melitto, bogowie są zazdrośni o swoje królestwo. Choćby Apollo zeszedł dla ciebie na ziemię, inni zagrodzą ci drogę na Olimp.

Melitta.

Ależ, Chryzandrze...

Chryzander.

Powiedz: biedny Chryzandrze, pogardzony Chryzandrze. Wracam do moich stad, na wzgórze. Tam mnie złote strzały Apolina łatwiej dosięgną, albowiem bluźnić będę złotemu bogu.

Melitta.

Chryzandrze...

Chryzander.

Zostań, Melitto, oby ci bogi były łaskawe *(odchodzi)*.

Melitta.

O, ja nieszczęśliwa! *(płacze)*.

Eros *(wychodzi z za krzaka)*.

Jak widzę, na nic moja nauka! A toś się spisała! Wstyd mi za ciebie!...

Melitta (*placząc*).

O, ja nieszczęśliwa! Jego ten Apollo zabije!

Eros.

Nie bój się. Wóz Apollina ledwie wypłynął z morza, nic nie będzie twemu Chryzandrowi. Co ci się jednak stało? Czyś zapomniała?

Melitta.

Nie, ale nie mogłam mówić... Bogowie nie obdarzyli mnie darem wymowy.

Eros.

Nie bluźnij, dziewczyno! Bogowie dali ci najlepszego nauczyciela wymowy, jakim ja jestem, tylko, że wy, dziewczęta, nie umiecie w niczem zachować miary. Mówicie albo za dużo, albo za mało.

Melitta.

Widocznie Chryzander nigdy się już nie dowie, jak go kocham.

Eros (*zamyślony*).

Zaczekaj, jest jeszcze jeden sposób.

Melitta.

Jaki? Ja już w żaden nie wierzę.

Eros.

Widzisz, Melitto, dla ciebie zdradzę tajemnicę Olimpu. Nikt ze śmiertelnych tajemnicy tej nie posiadał. Ty będziesz pierwszą.

Melitta (*przez łzy, z ciekawością*).

O, powiedz mi tę tajemnicę, Erosie.

Eros.

Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

Melitta.

O, ja jej nikomu nie zdradzę... powiem tylko Chryzandrowi.

Eros.

Nie o to chodzi (*n. s.*) Zeus w swoich wycieczkach na ziemię prędzej, czy później, sam tę tajemnicę zdradzi (*głośno*). Musisz mi przysiąc, dziewczyno, że powierzonego ci daru bogów używać będziesz jedynie w imię miłości.

Melitta.

Przysięgam na złotą Afrodytę.

Eros.

Wierzę ci! Czy słyszałaś o ambrozyi i nektarze?

Melitta.

Słyszałam. To posiłek bogów.

Eros.

Jest to posiłek i rozkosz nieśmiertelnych, a składa się z wielu pierwiastków. Jednym z nich jest—pocałunek.

Melitta (z ciekawością).

Pocałunek? Co to takiego?

Eros (z uśmiechem).

Za chwilę dowiesz się (ogląda się). Chodź tu, tylko cichutko (zbliża się do krzaka i rozchyła gałęzie). Co tam widzisz?

Melitta.

Gniazdko słowicze.

Eros.

A w gniazdku?

Melitta.

Ptasząt dwoje.

Eros.

Przyjrzyj się im. Tylko ostrożnie, żeby ptasząt nie spłoszyć.

Melitta.

Ach, te śliczne ptaszynki... dotykają się dzióbkami...

Eros.

Widzisz—to pocałunek.

Melitta (zdziwiona).

To pocałunek!

Eros.

Chodź jeszcze tutaj. Widzisz te dwie róże?

Melitta.

Widzę.

Eros.

Uważaj na nie.

Melitta.

Wiatr je pochyla ku sobie... O! dotknęły się teraz listkami korony, aż spadło kilka srebrnych kropeł rosy.

Eros.

To pocałunek!

Melitta (stoi zamysłona).

To pocałunek?

Eros.

Czy widziałas kiedy twarz swoją?

Melitta.

Widziałam tam, w strumieniu.

Eros.

Wiesz, jakie masz usta?

Melitta (*zawstydzona*).

Bogowie nie kazali mi zazdrościć róży...

Eros.

A moje usta, jak ci się zdają?

Melitta.

Są rumiane, ale nie takie, jak Chryzandra.

Eros.

To nic, pierwszy jednak pocałunek da ci sam bóg. Pochyl ku mnie swe usta, Melitto (*obejmuje ją i całuje*). Oto—masz!

Melitta.

O! *athanatos*...

Eros.

Jeśli, cię teraz słowa zawiodą, dziewczyno, użyj tego rodzaju wymowy. Dar Olimpu nie za-

wiedzie. W pocałunku możesz zamknąć całą głębię swej miłości, możesz powiedzieć Chryzandrowi wszystko, wszystko, to nawet, że kochasz go ponad same bogi olimpijskie. Czy pojmujesz mnie, dziewczyno?

Melitta (*stoi zamyślona*).

(Głos Chryzandra w głębi).

Ledwie gwiazda ostatnia złote swe oczy zamruży,
Kielich w słońcu rozchyła rumiany kwiat wonnej róży,
Próżno jednak w purpurze przedemną róża się ślania,
Milszaś, dziewczę, i kwiaty nie wezmą mego kochania.

O, Melitto, Melitto moja!...

Melitta (*budzi się z zamyślenia*).

Dzięki ci, boski Erosie! Odtąd ołtarz twój stale wieńczyć będę różami (*biegnie w głąb*). Chryzandrze, Chryzandrze!

Chryzander (*z głębi*).

Wołasz mnie, piękna Melitto!

Melitta.

Chodź tutaj, prędzej, Chryzandrze.

Eros.

Czy ci potrzeba podpowiadać, Melitto?

Melitta.

O nie, nie trzeba, boski Erosie.

Eros.

Więc zostawiam was samych. Pamiętaj tylko, dziewczyno, nigdy nie kłam pocałunkiem! *(usuwa się z ołtarz i tam zatrzymuje się przez chwilę).*

Chryzander *(wchodząc).*

Jestem, już jestem, Melitto!

Melita *(biegnie ku niemu i zarzuciwszy mu ręce na szyję, całuje w usta).*

O, Chryzandrze!

Chryzander.

Nieśmiertelne bogi, więc mnie kochasz, Melitto! dzięki ci, złota Afrodyto, dzięki, boski Erosie! *(pozostają przez chwilę w objęciu).*

M U C H A.

(Humoreska).

Firma Kuklinowskiego miała reputację ustaloną w miasteczku, jako pierwszorzędny „Handel win, towarów kolonialnych i delikatesów”. Był tam jeszcze jeden „handelek”, oraz cukiernia, która wydawała befsztyki i piwo—ale obiedwie te jadłodajnie gasły wobec potentata gastronomicznego, jak nikt marna płotka wobec wieloryba.

Porównanie to jest tem więcej uzasadnione, iż sztyld firmy stanowił... wieloryb, a raczej olbrzymi metalowy śledź pocztowy, którego całą długość, jak niegdyś Jonasz, zajmował sam „Kuklinowski”, złotem wypisany głoskami.

Odpowiednio do zamożności firmy urządzona była wystawa sklepowa. Piętrzyły się tu całe piramidy flaszek win wszystkich krajów, stały baterie nalewek i wódek, wdzięczyła się Benedyktyna obok Curaçao, Vanilla obok Chartreuzu i t. d.

W środku tego oszalowania leżały krążki i baryłki sera, stała beczułka z kawiozem i puszki z marynatami, widać było flaszeczki z oliwą, a wreszcie obficie rozrzucone bakalie.

Te ostatnie zwłaszcza delicye wzbudzały prawdziwy zachwyt w małoletnich Mendelkach i Chałmkach, którzy w chwilach wolnych od robienia „gwałtu” na środku rynku zatrzymywali się tu i pogrążali przed oknem w niemej kontemplacyi.

Ale najefektowniejszym i w największe zdumienie pogrążającym ów drobiazg szczegółem była ustawiona przed oknem duża czarna deska, na której skorupkami od ostryg wypisane było „Ostrygi”.

— *Wus is?*—wypytywali się wzajemnie młodsi spektatorowie dotykając ręką skorupek.

Raz jeden z nich przyniósł reszcie swych towarzyszków zagadkowe wyjaśnienie, że to są takie „szlimakies, które uni jedzą”. *Uni* — to znaczyło: wszyscy smakosze na świecie.

— *Ajej!*—zawołali wtedy towarzysze z obrzydzeniem.

Co prawda, ostryg w miasteczku nikt nie jadł i w handlu ich nigdy nie było. Tablica stanowiła tylko małą reklamę i ozdobę, którą główny repre-

zentant firmy kupił gdzieś i ustawił gwoli większej powagi.

Powagę też firma miała. Klientela jej składała się z elity miejscowej i przyjezdnego obywatelstwa, które tu *antiquo modo* pokrzepiało siły po walnych naradach z kupcami i bankierami miasteczkowymi.

Po przejściu ciężkich nieraz oparów kieliszek dobrego węgryzna nie jest rzeczą do pogardzenia.

A węgryzn „u Kuklinowskiego” był w istocie dobrym. Właściciel handlu, dawny kiper, na winie się znał i chodzić koło niego umiał. To też był jeneralnym dostawcą całej okolicy, której dostarczał taniego wina na garnce. Na większe uroczystości miał wina lepsze, a, jak fama głosiła, w głębokościach jego piwnicy kryły się omszałe butelczyny, pamiętające jeśli nie czasy odsieczy wiedeńskiej, to przynajmniej ostatniego Sasa. I to już dla wina wiek bardzo poważny.

Godzina 11-sta wybiła na ratuszowym zegarze, kiedy, skręcając z bocznej ulicy, wtoczyła się na rynek bryczka i stanęła przed handlem Kuklinowskiego. Z bryczki wygramolił się otyły jegomość w płóciennym pudermantlu i podążył do sklepu. Był to pan Maciej, dziedzic pobliskiej wioski

— Niech będzie pochwalony! — rzekł tubalnym głosem pan Maciej, zdejmując czapkę i krocząc w stronę izby, sąsiadującej ze sklepem.

— Do stopek się ścielę szanownego pana dobrodzieja! — zabrzmiał głos w odpowiedzi i jednocześnie dwie głowy pochyliły się: jedna nad kantorkiem, druga nad bufetem, głowa subiekta i głowa pryncypała.

Pan Maciej musiał być tu dobrze widzianym, gdyż wślad za nim podążyła drobna figurka samego właściciela.

— Pan dobrodziej śniadanko? — mówiła figurka, zacierając ręce i robiąc *chasséz* nogami. — Jest befsztyk, polędwica, może być ryba...

Pan Maciej był widocznie nieco strapiony.

— Przekąsić przekąszę — rzekł — ale potem. Najprzód zawołajcie mi tu Berka.

— Pan dobrodziej pszeniczkę?

— Phy, trochę tam pszenicy i żyta. Tylko dziś ceny dają!

— Nie tak, jak dawniej.

Pchnięto tedy chłopca sklepowego do Berka, a pan Maciej, zażądawszy papieru i pióra, pogrążył się w wyliczeniach.

Nareszcie zjawił się tyle pożądaný Berek, poważny kupiec, w czystym i ładnie skrojonym hałacie, z czapką aksamitną w ręce.

Po przywitaniu wyniosłem ze strony pana Macieja i uniżonem ze strony kupca zaczęły się układy.

Nie będziemy przytaczali tu całej tej walki na słowa, przekonywających argumentów pana Macieja i jeszcze wymowniejszych dowodów Berka; nie będziemy rysowali perypetyi owego targu, sprzeczek o termin dostawy — zatrzymamy się tylko na chwili, kiedy tęczowe banknoty zaczęły wyłaniać się z grubego pugilaresu kupca zbożowego.

Po podpisaniu kontraktu i zgarnięciu banknotów pan Maciej z inną już miną zawołał, aby mu podano śniadanie.

Gdy subiekt kręcił się około nakrywania stołu, w sklepie odezwał się głos jakiś:

— Każ pan tu zawołać Berka. Zaczekam w pokoju.

— Jak Boga kocham, Kostuś!—mruknął pan Maciej i zwrócił się twarzą ku drzwiom.

Do pokoju wkroczył mężczyzna wysoki, suchy, z miną kwaśną, wąsami obwisłymi.

— A sąsiad co tu robisz? — zagadnął pana Macieja, wyciągającego do niego rękę na powitanie.

— Berek tylko co ztąd wyszedł.

— Sprzedawałeś sąsiad? A po czemu?

— Po jedenaście.

— Psie pieniądze. Ale co robić. Potrzeby są.

I rozgadali się sąsiedzi o biedzie i ciężkich czasach, aż znów wsunęła się do pokoju postać Berka.

Teraz powtórzyła się w skróceniu scena poprzednia.

Cena już była ustanowiona, chodziło więc tylko o porównanie próbek. Po długim przesypywaniu żyta i pszenicy, oglądaniu ich przed oknem, smakowaniu w ustach, drugi kontrakt został podpisany i znów tęczówki z pugilaresu kupca przeszły do kieszeni pana Konstantego.

Nic już nie przeszkadzało, aby zasiąść do śniadania.

Na stole pojawiła się tedy starka i przekąski, potem befszytk, a wreszcie butelczyna węgierskiego.

Ku końcowi butelki humory współbiesiadników „wyróżowiały,” choć pan Konstanty, śledziennik i nieco pesymista z natury, czasami jeszcze postękiwał.

— Jak się pomyśli—odezwał się — że ojcowie

nasi nie takie wino pijali za swą sandomierkę, to, doprawdy, aż człowieka tu ściska.

— Ba, ba!

— Nieboszczyk ojciec mój zostawił mi kilka butelek stuletniego z górą węgrzyna. Co to było za wino!

— Nie taka lura, co?

— Dość było otworzyć butelkę, aby myszka na cały pokój się rozeszła.

— Piłem i ja raz także. Ciemne, lepkie, gęste.

— To, to. A nie do głowy.

— Tylko nogi, jakby wmurowane w ziemię.

— To mi wino!

— Podobno Kuklinowski ma takiego węgrzyna.

— Et, fabrykowanego. Gdzie teraz go szukać, chyba u wielkich panów.

— Zaklinał się, że kupił go gdzieś na Litwie.

— Może być, ale zawsze nie bardzo w to wierzę.

Rozochocony już dobrze pan Maciej krzyknął:

— Panie Kuklinowski!

— Sługa pana dobrodzieja! Czem mogę służyć?—zapytał pryncypał, zacierając, jak zwykle, ręce i robiąc *chasséz* nogami.

— Masz pan podobno starego węgrzyna—bardzo starego.

— Mam, panie dobrodzieju—rzekł z dumą Kuklinowski—wino z roku 1760.

— *Anno Domini millesimo septingentesimo sexagesimo*—ho, ho! Autentyk?

— Jak można wątpić, panie dobrodzieju — rzekł z urazą pryncypał—sam je kupowałem ze znajomej na całą Litwę piwnicy.

— Ano, to dawaj je pan tutaj.

— Sąsiedzie—upominał pan Konstanty—zbyt-ki!... Chyba do połowy!

— Za nic. Wypijemy tu po parę kieliszków, a resztę dopije się w domu z sąsiadem przy jakiej okazji.

Tymczasem pan Kuklinowski wyprawił się po starego węgryzyna. Nie było go widać z dobry kwadrans, aż wreszcie wkroczył do pokoju, niosąc ostrożnie omszałą butelkę, którą uroczyście postawił na stole.

Kompani spojrzeli na nią z szacunkiem i uczcili ją jednomyślnie przez powstanie:

— Staruszka, co?—zawołał pan Maciej.

— Tyle lat!... — mruknął melancholijnie pan Konstanty.—Jakie to ona czasy przypomina!...

— Stoi u mnie nieruszana — objaśnił Kuklinowski—od założenia sklepu, to jest dobre lat dwadzieścia kilka.

— No, patrzeć się na nią nie będziemy—zakonkludował pierwszy pan Maciej — otwórz-no pan, panie Kuklinowski.

Korek strzelił, a pan Maciej wyciągnął rękę, aby w charakterze amfityryona nalać kieliszki. Przedtem jednak przytknął szyjkę do nosa i pociągnął szeroko zapachu myszki.

— Silny!—rzekł, podsuwając szyjkę panu Konstantemu.

Ten pochylił się nad butelką, lecz naraz krzyknął:

— Mucha!

— Nie może być!

— Jak mi Bóg miły! Nie wpadła przecież.

— Zakonserwowała się. To mi okaz, stuletnia mucha.

— Ale, jak Boga kocham, żywa!

— Prawda, rusza się.

— Więc ma sto lat i żywa.

— Matuzal.

Tu pan Konstanty parsknął śmiechem i dodał, rzucając zjadliwe spojrzenie pod adresem zmieszanego Kuklinowskiego.

— Autentyk... *anno milesimo septingentesimo sexagesimo*... Prawda, panie Kuklinowski?

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro pan Maciej.

— Doprawdy, nie wiem... — tłumaczył się coraz więcej zmieszany właściciel handlu — chyba ożyła... aa... w winie... To tak konserwuje...

Czyż potrzeba dodawać, że wina nie wypito, a mucha z r. 1760 ciemną plamą zaciężyła na ustalonej reputacji „Handlu win i delikatesów” pana Kuklinowskiego?

NA WYJEZDNEM.

(Z opowiadań wujaszka).

Z ganku wiejskiego dworku wyszedł młody mężczyzna i ułożywszy ręce w tubę, krzyknął:

— Pietrek!

W stronie zabudowań gospodarskich i stajen zatupotało i za chwilę w odległej jeszcze bramie zjawiła się postać z czapką w ręce.

— Jezdem!—odezwała się postać.

— Zaprzęgaj!

— Zaro?...

— Wyjedziemy póki jeszcze widno.

— Rozumiem.

Podczas tego krótkiego dialogu na progu ganuku zjawiła się jeszcze jedna postać, a był nią znów mężczyzna, wysoki, szczupły, z twarzą serdeczną, wąsem zawieszonym i śmiejącymi się oczami.

— Czego się śpieszysz? Ot, zostałeś lepiej, pogawędzilibyśmy jeszcze—zagadnął młodszego.

— Zostałbym został, ale zanosi się dziś na noc ciemną, a przyznam się wujaszкови, że tłuc się po nocy nie bardzo lubię. Zresztą ten kawałek drogi na Zarwańcu...

— Et, nie gadałbyś! postawiłem wam płot i czegoż jeszcze chcecie?

— Ba, płot!... gdyby kołem zawadzić i płotby dyabli wzięli i ten, co by go zawadził, przejechałby się na łeb z wysokości jakich dziesięciu łokci.

— To też nie trzeba zawadzać.

— Właśnie dlatego za dnia chcę wyjechać. Pietrek niezły furman, ale w nocy do niego. Co chwila kiwa się na koźle i drzemie. Żeby go kułakiem w kark nie walić, spałby samopas. Tego tylko potrzeba na Zarwańcu.

— Nie namawiam cię, abyś ryzykował, ale mógłbyś jeszcze zostać. Zarwaniec ztąd blisko, a dnia masz dobre półtorej godziny. Przejeździesz o zmierzchu, wszak o to ci chodzi? Dalej droga,

jak po stole. No, zostań! Nie mogłem się z tobą nagawędzić, to choć teraz sobie odbijemy.

— Kiedy już Pietrek zajeżdża.

Rzeczywiście przez wrota od podwórza gospodarskiego z fantazyą zajeżdżała para siwoszów, ciągnących lekki wózek.

— To i co, Pietrek poczeka. Wyślę mu kieliszek wódki i kawał chleba, to będzie kontent.

— Chleba, dobrze, ale co do wódki, *veto*, musiałbym potem jeszcze bardziej odbijać sobie pięści.

— No, to dostanie herbaty, ty zaś zostajesz? Nie będę cię trzymał dłużej nad godzinę.

— Zgoda na godzinę, wujaszku.

Weszli obydwa na ganek, gdzie na stole stał jeszcze podwieczorek, i zasiedli na krzesłach.

— Nalej sobie kieliszek wina, zapal cygaro a ja ci opowiem przygodę, którą przypomniały mi twoje obawy o Zarwaniec.

Byliśmy raz na polowaniu w Zalesiu. Aby ci uprzytomnić położenie, wspomnę, iż dwór zaleski stał na górze, z której prowadziła kręta, usypana drobnymi kamieniami droga. Był tam również rodzaj płota, ale podobno nie większą wzbudzał ufność, niż mój na Zarwańcu. Na dobiek u dołu, gdzie się droga prostowała, ciągnęła się trytwa z tak rozpaczliwymi dziurami, dołami i wybojami, że przejechanie jej bez złamania osi lub wywrócenia można było uważać za *chef d'oeuvre* sztuki furmańskiej.

Ileż to razy mówiłem panu Maciejowi:

— Zasyp do dyabła. raz te doły, bo zostaniesz tu odcięty od świata, jak pustelnik. Nikt do ciebie nie przyjedzie.

— Nie bój się — odpowiadał — jak się sanna

uściele, z pierwszą ponową przyjeździecie na polowanko.

Zresztą podobno coś tam nawet robił, aby wyrównać drogę; zwoził faszynę, sypał ziemię, ale po pewnym czasie dziury i doły odradzały się, jak feniksy starożytne.

Byliśmy tedy u pana Macieja na polowaniu, bo niema polowania, jak u niego.

Konserwował, prawda, dziury na drodze, ale też i umiał konserwować zwierzynę w obszernych lasach swoich. Pilnował jej, jak oka w głowie, kłusowników tropił, szkodników łowił, służbę, leśniczych, strzelców miał wytresowanych, więc ani jeden kłusownik nie mógł pojawić się w lesie, ani jeden kundys nie gonił bezkarnie zajęcy, ani jeden ptak drażniący nie krył się przed jego dubeltówką.

To też polowanie u pana Macieja było rajem dla myśliwego.

Tym razem zebrało się jakoś liczniejsze grono. Gospodarz wystąpił *honeste*, i gdyśmy pod wieczór wstawali od obfitej uczy, byliśmy już wszyscy w różowych humorach. Część rozjechała się zaraz, część zaś towarzystwa zasiadła do kart.

Pomiędzy tylni ostatnimi byłem i ja, nie dlatego, abym karty lubił, lecz, że mnie gwałtem zatrzymano, nie przymierzając, jak ja dopiero co ciebie.

Sytuacja była o tyle jeszcze podobniejszą, iż wybierałem się wcześniej również z obawy owej karłokolonnej przeprawy po stromej drodze z góry i po wyboistej trytwie. Zakrzyczano mnie jednak.

— Co ci się stanie, czego się boisz? — perorował jeden z pozostałych również; — chcesz, to cię sam przewiozę. Znasz mego Franka, toć to mistrz

w swoim rodzaju, przejedzie ci czterema końmi po kładce.

I rzeczywiście Franek pana Kajetana — tak się nazywał robiący mi ofertę — miał taką reputację. Sam zaś pan Kajetan szczylił się reputacją zupełnie innego rodzaju. Był to znany utracysz: część fortuny przeszastał już na stajnię i różne pańskie wybryki, a reszta szła w ślady swej poprzedniczki.

Konie miał zawsze przepyszne, jeździł też stale czwórką i to z wielką fantazyą. Owa znakomitość, Franek, wymustrowany był odpowiednio. Gdy pan Kajetan zakomenderował:

— Po bacie! marsz, marsz!

Franek zaciął konie i ruszał co koń wyskoczy. Powodował zaś końmi z niezwykłą wprawą i zręcznością, bo pan Kajetan płacił dobrze, ale niezręcznej służby cierpieć nie mógł.

Jakkolwiek oferta pana Kajetana nie uspokoiła mnie zupełnie, nie mogłem się przecież wymówić usilnym prośbom gospodarza i zostałem.

Gra przeciągnęła się dość długo, a gdyśmy nareszcie wstali, noc była kompletna.

Ostatecznie mieliśmy wyjeżdżać, ja i pan Kajetan, reszta towarzystwa nocowała.

Wychodzę przed ganek, a tu ciemno, choć oko wykol.

— No! — myślę sobie — dalibóg i Franek nie pomoże.

Zajechały bryczki, zajechał i Franek pierwszy. Patrzą, a on się jakoś za wymownie chwieje na koźle!

Podchodzę do niego i pytam:

— Spiłeś się, hultaju?

— Żebym jutra nie dożył, jakem pił choć krzynę, żebym tak trupem padł...

— Oho! źle, klnie się, a wódka bucha od niego, jak z beczki.

— Sąsiedzie, jedziemy—woła pan Kajetan.

— Za nic.

— Cóż znów.

— Franek pijany.

— A szelma! Ale to nic, on i po pijanemu pojedzie dobrze.

— Po kawalersku, marsz, marsz!... wiem. Nie myślę próbować.

— Panie Kajetanie — molestuje gospodarz — dajże dziś przynajmniej pokój swojemu marsz, marsz!

— Sąsiedzie, pojedziemy wolno... noga za nogą. Siadaj.

Nie należę do zbyt ostrożnych, ale ryzykować tym razem nie chciałem.

— Wybacz, panie Kajetanie, lecz propozycji twej nie przyjmę. Ot, mój Jędrak trzeźwy, siadaj do mnie, pojedziemy.

— Nie przyjmujesz sąsiad mojej ofiary, to ja twej nie przyjmę.

Siadamy tedy każdy na swój wehikuł, a ja jeszcze monituję Jędrka.

— Zebyś mi jechał wolno, a pamiętaj, trzymaj się k'sobie, tam mniej dziur.

Tymczasem słyszę, jak pan Michał zaleca panu Kajetanowi ostrożność i prosi go, aby jechał wolno.

— Pojadę, jak po smole — odpowiada tenże, siedząc już na wózku.

Franek ruszył, lecz zaledwie minął wrota, rozlega się komenda.

— Licowym po bacie. Rznij kobyłę, bo leniwa i marsz, marsz!

Strzelił bat, zaturkotało, zahuczały kamienie. Gospodarz struchlał.

— Jezus, Marya! Waryat, kark skręci, nogi połamie.

Potem zwrócił się ku stajniom.

— Konia!—krzyknął.—Grześ niech siądzie na drugiego, wziąć pochodnię!

— Jędrak, ruszaj kłusa!—zawołałem i ja — może się przydamy.

Pojechaliśmy po stromej drodze. Bryczka coraz się przechylała i trudno było sobie wyobrazić, aby ktokolwiek, jadąc tak, jak pan Kajetan, mógł wynieść całe kości.

Za chwilę mignął czerwony słup światła i pan Michał z Grzesiem przegalopowali około nas.

— Ostrożnie — zawołałem teraz na Jędrka — tamtym już pomoc poszła, a na nic im się nie przyda, że i my gdzie na łeb zlecimy.

Wyjechaliśmy nareszcie na trytwę. Tu cicho było i tylko zdala błyszczało chwiejące się i migotliwe światło pochodni.

— A więc zjechał szczęśliwie z góry — pomyślałem sobie—no... no...

Nie życzyłem panu Kajetanowi nic złego, lecz byłem pewny, że tam, gdzie błyszczy owo światelko, leży on i Franek.

Tymczasem na wyboistej drodze bryczka nie przestawała kołysać się ryzykownie, jak łódź na wzburzonym morzu.

— Jędrak, ostrożnie, trutniu... k'sobie... od siebie — komenderowałem, pamiętając dość dobrze o wybitniejszych dołach i wybojach.

Zwolna zbliżaliśmy się do końca cierniowej drogi, a czerwone światełko również rącho zbliżało się do nas.

Nagle stała się rzecz niespodziewana.

Gdy z cieniów wynurzyły się ku nam postacie pana Michała i Grzesia z pochodnią, koło bryczki zapadło w jakąś otchłań i w jednej chwili znalazłem się niemal pod kopytami nadjeżdżających koni.

Pan Michał wybuchnął gwałtownym śmiechem, nawet Grzesz zatykał sobie gębę.

— Ha, ha, ha — śmiał się pan Michał — ha, ha, ha! Kajetan przejechał *en carriere* z pijanym Frankiem, a sąsiad... ha, ha, ha! a sąsiad pomimo całej ostrożności leżysz... ha, ha, ha...

Wygramoliłem się z pod siedzenia i wstałem, bo nic mi się nie zrobiło, ale zły byłem okropnie.

„Jędrak, żeby cię wszyscy dyabli!” — było to, co nareszcie mogłem wykrztusić z siebie.

Grzesz pomagał Jędrkowi podnosić bryczkę, a pan Michał, śmiejąc się ciągle, otrzepywał mnie z błota.

— Ale nic się przecie sąsiadowi nie stało? — pytał już poważnie.

Teraz, choć mnie trochę ramię bolało, nie mogłem się jednak sam oprzeć śmiechowi, tak mi się wydała zabawną cała ta awantura.

— Więc Kajetan przejechał? — spytałem.

— A przejechał, słyszeliśmy tylko oddalony turkot jego bryczki.

— A ja leżałem, jak Boga kocham, leżałem!

— Leżałeś sąsiad.

— No, żeby mi to kto opowiedział, doprawdy nie uwierzyłbym.

— Mówi przysłowie: Pijanego Pan Bóg strzeże, a Franek był urznięty i Kajetanowi niewiele brakowało. Oj, napędzili mi strachu!

Pożegnaliśmy się z panem Michałem i pojechałem do domu.

Po drodze wypadło mi przejeżdżać około dworu pana Kajetana.

W oknach błyszczało światło, a gdy bryczka moja zaturkotała na drodze, otworzyły się drzwi i wyszedł pan Kajetan.

— A co? Wywrócił Franek?

— Zato mój Jędrak wywrócił — odrzekłem żartobliwie, bo mi się już humor poprawił.

— Nie może być!

— A tak.

— Nie mówiłem, trzeba było ze mną jechać.

— Ba, ja z Jędrkiem narażałem się na potłuczenie, a z Frankiem na skrócenie karku.

— Ha, ha, ha!... ma sąsiad rację!... To moja zresztą zasada, kiedy leżeć, to dobrze! Wstąp sąsiad do mnie na chwilę.

Wstąpiłem wtedy, bo dziś pan Kajetan istotnie „leży” po swojemu: resztki przeszastał, i sam goni gdzieś po świecie za nową fortuną.

— Ale patrz — przerwał opowiadanie wujaszek — ściemnia się, a nie każdemu uda się tak na Zarwańcu, jak panu Kajetanowi na Zaleskiej górze i trytwie.

— Trzeba istotnie jechać, bo nareszcie i mój Pietrek nie może być porównany z Frankiem.

I znów młodszy mężczyzna wyszedł z ganku, aby zawołać Pietrka.

Para siwoszów zajechała z fantazją.

— Przejedziesz na Zarwańcu?

— Ojoj!

— Tylko bez „ojoj”, a przede wszystkim nie śpij w drodze.

I siostrzeniec uściskał dłoń opowiadacza - wujaszka.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

— Ruszaj!...

A L K O R.

(Lekeya astronomii).

Wierzchołek rozłożystej lipy nurzał się w rumianem świetle zachodu, dołem zaś, w ocienionej gęstwinie liści, przechodziły jakieś fale siwawe, wywołane podmuchem zrywającego się już wiatru. Była to chwila, kiedy światło dzienne tryska na pożegnanie całą tęczą barw świetnych i wsiąka zwolna w szare tło wieczoru.

Pod lipą widzimy trzy osoby.

Na prostej ławeczce drewnianej siedzi młoda dziewczyna w dużym, słomkowym kapeluszu, podwiązanym czerwoną wstążką i, pomimo nadchodzącego zmroku, pilnie szyje na ręcznej maszynie, pochylając się nad stołem dla sprawdzenia kierunku szwów migającej igielki. Obok buja się huśtawka, wprawiana w ruch przez opalonego drugoklasistę, a na huśtawce śmieje się i trzepoce śliczny dzieciak, czterastoletni może podłotek.

— Maniu!—woła trzpiot z huśtawki—mnie się on odrazu podobał, a tobie?

Odpowiedzi nie było.

— Już ja wiem, że ci się podobał, tylko się kryjesz.

— Dzieciak jesteś, moja Zosiu!

— A czemu się tak zawsze czerwienisz? Jak się kto czerwieni, to znaczy, że mu serce mocniej bije...

— Pleciesz bez sensu; lepiej uważaj, bo spadniesz z huśtawki.

I młoda szwaczka pochyla się pilniej jeszcze nad robotą, a tymczasem zawiązuje się rozmowa między podłotkiem a gimnazystą.

— A surowy on?—pyta podłotek.

— E, gdzie tam, nigdy się nie gniewa.

— Doprawdy? Jakbym ja była profesorem, tobym dopiero za uszy darła i łapy biła, co się zmieści...

— Oho, widzisz ją! A jaby ci się dał? — wykrzykuje czupurnie drugoklasista.

— A czem on jest?

— Matematyk. I jaki! Powiadam ci, jak wżmie zadanie, choćby najtrudniejsze, to ci w mig zrobi, nawet na potrójne prawidło. Bo my już takie robimy...

Podłotek z admiracją patrzy na uczonego brata i milczy przez chwilę.

Potem wykrzykuje nagle:

— Co? chciałbyś, Wicek, żeby się on ożenił z Maniusią.

Maniusia odrywa się od maszyny, robi poważnie uroczystą minę i mówi:

— No, dosyć tego, dzieci. Jeżeli nie przestaniecie, pójdę ztąd sobie.

Ledwie to wypowiedziała, Zosia już była

przy niej, a obejmując starszą siostrę za szyję, wołała:

— Nie puszcze cię, Maniuchno! Mamy przecieć obiecaną lekcję astronomii.

— Nie można wciąż nudzić pana Władysława.

— Kiedy on tak lubi opowiadać.

— Może teraz zajęty.

— Zaraz zobaczę.

I nie słuchając protestów siostry, mała trzpiotka pobiegła do oficyny, zajmowanej przez nauczyciela Wickę.

W pokoju szaro już było, przy otwartem oknie, przed którym chwiały się sylwetki krzaków, siedział młody człowiek, pochylony nad kajetem. Wprawna ręką kreślił na papierze figury geometryczne, szeregi cyfr i znaków algebraicznych.

— Przeprowadziwszy ordynat przez punkt A , otrzymamy nową wielkość, którą prowadzimy do równania...

W tej chwili przez drzwi uchylone wsunęła się główka Zosi i rozległ się głos:

— Można?

Młody człowiek podniósł się od stolika.

— A, panna Zosia. Proszę.

— Przyszłam panu przypomnieć obiecaną lekcję astronomii. Patrz pan, już gwiazdy się ukazują na niebie.

— Zaraz służę.

Zamknął zeszyt, ułożył książki i w towarzystwie Zosi podążył do ogrodu.

Był to typ młodego uczonego z twarzą bladą, oczyma nieco zmęczonemi, lekkim zgarbnieniem pleców i zaniedbaniem w ubraniu. Zatopiony w swych

studiach, zamyślał się często, a wtedy w łagodnych oczach miał niby rozmarzenie.

Idąc z Zosią, widocznie kończył w myśli rozpoczęty na papierze rachunek, bo zsunął brwi i oczy skierował w przestrzeń.

Tymczasem Zosia z minką bardzo poważną prawiała:

— Żeby pan wiedział, jak Mania lubi pana słuchać.

— Panna Marya jest osobą poważną, która interesuje się naukami ścisłymi.

— E, to nie dlatego...

Młody człowiek spojrział, jak gdyby go dopiero zbudzono, i z mimowolną naiwnością zapytał:

— A dlaczego?

— Widzi pan... — zaczęła poufale Zosia i urwała.

Następnie dodała tajemniczo:

— Niech pan dobrze patrzy.

Ze sposobu, w jaki młody matematyk rzucił okiem na rezolutną dziewczynkę, widoczne było, że zagadkowych słów nie rozumie, a nawet nie stara się zrozumieć.

Z pobłażliwością rzekł tylko:

— Dobrze, panno Zosiu!

Zbliżył się pod lipę.

Manusia kończyła właśnie składać materię i formy, Wicek zamykał maszynę.

— Pójdźmy nad staw — zaproponowała panna Zosia.

Na zwierciadlanej powierzchni stawu odbijało się niebo, wyiskrzone gwiazdami. Zdawało się, iż niebiosa rzuciły tu garść tego złotego piasku, któ-

rym zasiane są przestworza wszechświata. I gdy jedne gwiazdy mrugały z góry, inne kołysały się lekko na wodnej fali.

Nad stawem zatrzymali się wszyscy.

— Dzyń, dzyń, dzyń, lekcya się zaczyna!—zawołał Wicek.

— Wiciu!—upominała go starsza siostra.

Młody nauczyciel, który znów popadł w zamyślenie, zbudził się teraz.

— Czy dalej zajmiemy się jeografią nieba? — zapytał.

— Najprzód powtórzę panu wczorajszą lekcję—zabrała głos Zosia i wyciągając paluszek ku niebiosom, recytowała:—Te siedem gwiazd to Wielka Niedźwiedzica, albo Wielki Wóz; cztery gwiazdy stanowią koła, trzy—dyszel. Przeprowadziwszy linię prostą przez dwa ostatnie koła, spotkamy Gwiazdę Polarną, która świeci nad biegunem północnym. Znajduje się ona w konstelacyi Małej Niedźwiedzicy.. o, tam u góry. Pod Wielką Niedźwiedzicą świeci Arktur—taka ładna gwiazda... ot, ta...

I dalej przeskakiwała paluszkami z Arktura na Denebolę, z tej na Atair, potem na Capellę, wreszcie wyczerpawszy całą swą wiedzę, zawołała z dumą:

— A co, może nie pamiętam? Niechby tak Wicek powtórzył.

— Myślisz, że nie? Zapytaj się pana, jaką ja mam pamięć.

Manusia, milcząca dotąd, zwróciła się teraz do pana Władysława:

— Jakże piękną nauką jest astronomia, która uczy nas poznawać te śliczne gwiazdy.

— Tak pani. Nie darmo astronomię nazywa-

ją królową nauk, choć owo poznawanie gwiazd, o którym pani wspominała, jest zaledwie najelementarniejszym wstępem do niej, tak jak poznawanie np. głównych miast jest najniższym szczeblem elementarnej jeografii. Dopiero jeografia fizyczna, polityczna, handlowa, etnografia, nauki przyrodnicze i t. d. składają się na stworzenie całości. Tak samo i z astronomią.

Wpadłszy na ulubiony temat, młody nauczyciel ożywił się. Mówił długo, rozwijając myśl swoją w coraz to nowej formie. Był to prawdziwy hołd uczonemu dla swej mistrzyni—nauki.

Szli razem, podczas gdy Wicek i Zosia podążali za nimi, spierając się widocznie, kto z nich więcej gwiazd odróżnić umie, bo co chwila wyciągali ręce ku stropowi niebieskiemu.

Manusia nie spuszczała oka z młodego uczonego, który tymczasem utkwiał wzrok w ziemię i mówił zwolna, z pauzami, jak człowiek, któremu przychodzi nagle jakieś pomysły i absorbują na chwilę jego uwagę.

Mijając wązką ścieżynę, Manusia potknęła się o korzeń.

— Panie Władysławie! — zawołała rezolutnie Zosia — podaj pan Mani rękę, bo się jeszcze przewróci.

Mania obejrzała się z wyrzutem ku siostrze, lecz podała rękę nauczycielowi. Ręka ta zadrżała w zetknięciu z ramieniem młodego człowieka.

Ten jednak, zatopiony w swych myślach, nie zwracał na nich uwagi. Owszem, dziwiło go może, że ma być przewodnikiem — on, który zwykle tak roztargniony, sam w wędrówkach swoich potrzebował podpory.

— Więc pan zamierza studywować specjalnie astronomię—zaczęła Maniusia.

— Tak pani, to jest moje marzenie. Po wakacjach wyjeżdżam właśnie za granicę na studia, przy którymś z obserwatoryów.

— Jak szkoda, że nauka ta nie jest przystępną dla kobiet.

W słowach tych brzmiało coś więcej, niż żal z powodu zamkniętych wrót wiedzy.

— Owszem, proszę pani. Obecnie i kobiety studyują matematykę.

Mówił to głosem obojętnym, jakim się zwykle notuje fakty znane.

— Panie Władysławie, panie Władysławie! — odczwał się nagle głos Zosi—co to za gwiazda, taka mała, tu, przy drugiej gwieździe w dyszlu Wielkiego Wozu, o ta, ta—ta mała..

— Panna Zosia ma dobry wzrok, jak widzę—rzekł w odpowiedzi młody człowiek—ta gwiazda, to Alkor. Nazwali ją tak Arabowie, ponieważ drobna ta gwiazda ukrywa się zwykle przed mniej bystrym wzrokiem. Alkor po arabsku znaczy „próba wzroku.” Jest to gwiazda VI-jej wielkości, a wzrok zwyczajny dostrzega tylko gwiazdy do piątej wielkości.

— A pan ją widzi?—zapytała dumna ze swego odkrycia Zosia.

— A jakże. Pomimo znużenia oczu, zachowałem wzrok względnie bystry.

— Doprawdy? Więc się przed panem nic nie ukryje?

— O, wiele rzeczy ukryć się może przed okiem człowieka, lecz mamy do pomocy szkła optyczne.

— Proszę państwa na kolację! — rozległ się w tej chwili głos służącego z ganku. — Waza na stole.

Maniusia pobiegła pierwsza przez dziedziniec do pomocy matce, za nią w podskokach podążył Wicek. Zostali się Zosia i młody nauczyciel.

Rezolutny podłotek wpatrzył się w twarz młodzieńca i zapytał:

— Jak pan uważa naszą Maniusię?

Młody człowiek bez zdziwienia przyjął to zapytanie. Przywykł on od kilku dni swego pobytu na wsi uważać Zosię za małego dyabelka, którego należy zbywać pobłażliwością.

— Panna Marya jest bardzo dobrą i poważną osobą—odrzekł łagodnie.

— A widział pan, jaka ona ładna?

Teraz pan Władysław uczył się już wprost zażenowanym. Był on z natury nieśmiałym, spuścił więc oczy i pokrył słowa Zosi milczeniem.

— A więcej nic pan nie zauważył?

— Cóż takiego?—odezwał się wesoło.

— No, że... E, i pan powiada, że ma pan wzrok bystry.

— Dostrzegam gołem okiem Alkor—tłumaczył się biedny profesor, wzięty na indagację przez trzpiotowatą dziewczynkę.

— Co tam Alkor!...

Wchodzili właśnie na schody do ganku. Tu mały trzpiot z komiczną minką dygnął przed panem Władysławem i wyrzekł uroczyście:

— To chyba panu potrzeba lunety.

Był to początek wakacyj. Może w końcu pan profesor dostrzeże gołem okiem wskazywaną mu przez Zosię—gwiazdę!

PORTECIGARRE.

(Niby humoreska).

— Byłby mnie pan ominął, nie przywitawszy się nawet. Bardzo pięknie!

W słowach tych brzmiał lekki wyrzut.

Osobą mówiącą była młoda dziewczyna w zręcznym kostymie spacerowym, w kapeluszu słomkowym, z pod którego spoglądały żywe, ciemne oczy. W oczach tych, zwróconych obecnie na idącego obok mężczyznę, widać było odbicie tego samego wyrzutu, który przed chwilą zadźwięczał w intonacji głosu dziewczyny.

— Nie spostrzegłem pani.

— Byłeś pan zamyślony.

— Czy wie pani! Śmieszne to może, ale upoiła mnie wiosna.

— Upoiła? Istotnie, nie posądzałam pana o taką wrażliwość...

— Na zmiany temperatury i pogody. Widzi pani, to przychodzi z wiekiem.

— Nie rozumiem.

— A jednak to tak proste. Dopóki rachujemy wiosny, każda z nich, z jej błękitem, kwieciami i zielenią mija, jak szła niepostrzeżenie. Wiosna u nas samych zlewa się całkowicie z wiosną przyrody, a zlanie to jest tak łagodne, naturalne, że nie

pozostawia silniejszego wrażenia. Dopiero, gdy zaczniemy rachować zimy, z każdym nowym odrodzeniem się natury żałujemy wiosen, jeśliśmy je zmarnowali, lub tęsknimy, że już dla nas nie wróciła. Oto wyjaśnienie, może zbyt ekliwo-sentymentalne, powtarzam jednak: jestem pod wrażeniem wiosny.

— Wszystko to dobre, ale mimo to pozostaję w nieświadomości, co pan tu stosuje do siebie.

— To, że rachuję już zimy.

Dziewczyna spojrzała badawczo w twarz mężczyzny. Twarz ta była jej dobrze znaną, choć często ulegała zmianom. Zwykle to była twarz o rysach ostrych nieco, z wyrazem oczu surowym, ze zmarszczkami na czole, z uśmiechem ironicznym na wąskich ustach. Wówczas głos brzmiał monotonicznie, szorstko, lub nabierał akcentu złośliwego.

Czasami znów, a zdarzało się to podczas ich rozmowy, na twarzy tej zalegała pogoda, rysy łagodniały, zmarszczki znikwały, głos nabierał miękkości i dźwięczności. Tak było właśnie w tej chwili. Szare oczy mężczyzny z wyrazem jakiegoś rozmarzenia i smutku obejmowały zręczną postać młodej dziewczyny, na której twarzy igrały refleksy od przeświecającej na słońcu czerwonej parasolki, walczącej z cieniem, rzucanym przez rondo kapelusza.

Dziewczyna nagłym zwrotem wzrok swój cofnęła z twarzy mężczyzny.

— Zimy?—szepnęła.—Czy nie zawczasie?

Oboje zamilkli na chwilę. Przechodzili przez ogród miejski, a teraz wyszli na ulicę. Nie było tu już zieleni, tej świeżej, soczystej, nieskalanej jeszcze kurzem zieleni, która na krótko tylko ukazuje się oczom mieszczuchów w ogrodach, alejach i na skwerach miejskich.

Ruch uliczny widocznie podziałał na mężczyznę, gdyż zaczął zwyczajnym tonem:

— Koniec końców, wszystkie te moje westchnienia do wiosny są poprostu głosem zrujnowanego zdrowia, które na gwałt domaga się reperacji na świeżem powietrzu. Jestem znużony, wyczerpany, a doprawdy nie wiem jeszcze, czy, i dokąd wyjadę. *A propos*, pani wyjeżdża?

— Prawdopodobnie. Przynajmniej mama wy bierała się do wujostwa.

— Na całe lato?

— Zdaje się. Wróciłybyśmy we wrześniu. Zresztą, są to tylko projekty.

— W każdym razie projekty miłe. Jeśli się nie mylę, ma pani tam kuzynów?

— Jednego, Janka. Wesoly, sympatyczny chłopak, a przedewszystkiem dobry brat.

Wyraz „brat” został lekko podkreślony.

— A pan nie ma jeszcze żadnego projektu?— dorzuciła po chwili.

— Wspomniałem już, że nawet nie wiem, czy uda mi się wyjechać. Nie robię też żadnych projektów, aby się nie zawieść następnie.

— Pan się obawia zawodów?

Mężczyzna spojrzał prawie impertynencko w oczy mówiącej.

— Doprawdy, pani... — zaczął głosem rozdrażnionym i urwał.

Następnie rzekł krótko:

— Nie, jestem za ostrożny i za stary.

Po raz wtóry mówił dziś o swej starości.

Dziewczyna spoglądała na niego z ciekawością. Znali się dość dawno. Był jej nauczycielem, a następnie mentorem. Mówili z sobą o rzeczach pot-

cznych, o teatrze, koncertach, o wspólnych znajomych, o przeczytanych książkach; mówili raz seryo, innym razem śmiejąc się i żartując — nie dotykali jednak nigdy wzajemnego stosunku swego. Przywykła go uważać za dobrego znajomego, za przyjaciela, za powiernika swego. Z sympatyą swą dla niego nie tała się wcale. Witła go z twarzą rozjaśnioną, z wyciągniętą dłonią, nie zapytując siebie, dlaczego to czyni. Możeby się czasem zawahała, ale on zawsze tak wszystkie oznaki życzliwości spokojnie przyjmował. Nawet drażniło ją to nieco.

W tej twarzy, która to chmurna i surowa, to znów pogodna i rozjaśniona spoglądała na nią, nie szukała lat; interesował ją przedewszystkiem człowiek, nie zdawała sobie zaś sprawy, jakim jest jej stosunek do mężczyzny.

Kilka momentów z krótkiej rozmowy na ulicy zastanowiło ją teraz.

Zatrzymali się przed sklepem.

— Mam tu kilka sprawunków do załatwienia, muszę pana pożegnać. Wszak będzie pan u nas niezadługo?

Stała osłonięta parasolką, która tworzyła płomienne tło dla jej główki.

Mężczyzna miał tylko jedną odpowiedź:

— Będę.

* * *

Był odtąd już kilka razy i rozmawiał z nią długo. Teraz do rozmów obojętnych coraz częściej mieszały się półsłówka i aluzje, do których mate-

ryału dostarczała ta sama wiosna, z oczyma niezabudę i rumieńcem róż polnych.

I rzecz dziwna, inicjatywę w tem brała niepodzielnie prawie piękna dziewczyna, z początku wahajaco się i nieśmiało, potem coraz śmielej—gdy tymczasem mężczyzna bronil się tylko — z początku śmiało, potem coraz słabiej.

Pewnego dnia zakomunikowała mu, że projekt ich wyjazdu z matką ulega zmianie. Miała oddzielnie wyjechać do chorej przyjaciółki, z której rodziną łączyły ich węzły przyjaźni.

— Będzie nam tu smutno — odpowiedział jej na to.

Mówił „nam,” bo nie śmiał jeszcze powiedzieć: „mnie.”

Jako przyjaciel zajął się ułatwieniem jej wyjazdu, wykupił paszport, dopomagał w sprawunkach, a twarz mu się wciąż chmurzyła, jak dawniej.

Przyszedł wreszcie dzień wyjazdu. Już na dworcu dziewczyna ścisnęła mu rękę.

— Za powrotem podziękuję panu za jego dobroć. Do widzenia!

Zarumieniona twarzyczka uśmiechnęła się do niego z okna wagonu i zniknęła w oddali.

.

W końcu sierpnia ruch panował w mieście. Wracano z wód i letnich mieszkań. Odwiedzano się i dopytywano o tych, którzy jeszcze nie przyjechali. Letnie wakacje mieszczuchów już się skończyły.

Piękna dziewczyna powróciła również od swej przyjaciółki.

Mężczyzna o szarych, spokojnych oczach i surowej twarzy, którego poznaliśmy poprzednio, wchodził właśnie z przedpokoju do saloniku, zapełnionego jeszcze otwartymi kuferkami. Ze spokoju, z jakim wchodził i z marmurowej nieruchomości rysów trudno było odgadnąć, czy pamiętał owe wiosniane gawędy, czy przypomniał sobie pożegnanie na dworcu kolejowym.

Pierwsza powitała go, wyciągając do niego serdecznie obie ręce, starsza kobieta.

— Wie pan—mówiła wesoło—nowina! Nasza Zosia zaręczona.

„Nasza,” to znaczyło jej córka i jego—uczenica. Wszakże był jej starym przyjacielem.

Na progu stanęła właśnie młoda dziewczyna z radośnie rozjaśnioną twarzą.

— A, to pan! Pierwszy nas pan wita po powrocie. Nie zapomniałam o panu, przywiozłam mu upominek.

I wręczyła milczącemu obojętnie mężczyźnie portecigarre z nieodzownem „Souvenir.”

Było to obiecane podziękowanie i zamknięcie wspomnień wiosennych.

Dla mężczyzny miała rozpocząć się nowa zima...

C A C K A.

Szkaradny czas. Postawiony kołnierz zaledwie zabezpiecza od zadymki, która rzuca garściami dro-

bnego śniegu w twarz i chłodnym, wilgotnym oddechem obejmuje całego człowieka od stóp aż do głowy.

Zeby się Janek aby nie zaziębił. A tak się napierał:

— Pójdę z tatusiem, pójdę!...

— Janku, czy ci nie zimno? Zobacz-no, czy ci się szalik nie odwiązał.

Aha, albo on wie, co się dzieje na ulicy! Rozszerzonymi oczyma pochłania wystawy, gdzie czerwienią się, błękitnieją, złocą i srebrzą książki i zabawki. Wokół szara głębia zadymki, kałuże rozdeptanego błota na chodnikach, niebo mętne i dziwnie niskie nad ziemią, a on tam roztapia się w błękitnie i tonie w złotych promieniach niedalekiej Gwiazdki. Czuję, jak co chwila zwalnia kroku i ręka moja doznaje oporu lub nagłego szarpnięcia.

— Tatusiu, jakie to śliczne!—szepce.—Czy mogę się przyjrzeć lepiej?

Jestem tatusiem pobłażliwym, więc ulegam. Stajemy w oknie, oblani światłem gazowem, a Janek przypada do szyby.

— Tatusiu, co za śliczny konik! Ach, jaka szabelka! A to, tatusiu, co to takiego? Do czego to? Do czego tamto?

Pyta i nie czeka odpowiedzi, bo go już co innego pochłonęło.

Co do mnie, spoglądam z roztargnieniem, lecz oczy moje coraz bardziej odrywają się od szarej, mętnej zadymki.

Dzieciństwo, ażeby mnie te cacka interesowały?

Stanowczo dziś są gustowniejsze koniki, niż dawniej. Jakoś wykończone artystyczniej i efekto-

wniej. Dawniej to były takie proste, skórzane, lakierowane. Przypominam sobie, nawet zapach lakieru i trocin drzewnych, które sypały się z rozprutego konia. Bo on się potem jakoś rozpruł.

Tak, tak, przypominam sobie... Była wtedy taka sama zima, tylko piękniejsza. Ach, jaka ona była piękna! Śnieżne dachy z naszego okna tworzyły taką cudną panoramę, a niebo wyglądało, jak rozmacone mleko. Lubiłem całymi godzinami przypatrywać się tym dachom i temu mlecznemu niebu, ku utrapieniu matki, która odpędzała mnie, mówiąc:

— Idź mi zaraz od okna, bo tam wieje, jeszcze się zaziębisz.

Mnie zaś okrutnie bawiły te białe płaszczyzny i te migające w powietrzu płatki. Wyobrażałem sobie, jakby to było przyjemnie ważyć się tak w powietrzu na takim srebrnym płatku, spaść na dach i toczyć się po miękkiej pościelce. Ba, aniołowie to mogą tak się bawić! Mają skrzydła i fruwać sobie, gdzie chcą. Żebym to ja miał skrzydła, choć takie maleńkie skrzydełka... Choćby takie, jak ta wrona, co siadła na dachu i płonąć śnieżną białością łabędziego puchu.

Lubiłem przypatrywać się tym czarnym wronom. Takie to zabawne ptaki, gdy ciężko opuszczają się, lecąc skośnie przez powietrze i padając na rozkraczone nogi. Albo kiedy się zrywają niezgrabnie i odrywają się przenikliwie, „kra, kra!”

Ale najwięcej interesowały mnie śnieżne igielki, szybujące w dzień mroźny, słoneczny, w przejrzystym, jak szklanem, powietrzu. Sypały się one niby iskierki, niby deszcz dyamentowy, a moje oko dziecinne, wrażliwe i niezmezczone, chwyciło całą grę barw, strzelających z tych drobnutkiach kry-

sztalków. Albo te kwiaty lodowe na szybie!... Com ja się w nie wtedy nie nawpatrywał! Zajmowała mnie matowa siatka, jaka się rozsuwała na szkłe, ciemnawa pod światło i podobna do liści paproci. Od dołu jednak, u samej ramy, z grubej warstwy strzelały przezroczyste słupy lodowe i rozpały się w tęczę, gdy padł na nie promień zimowego słońca. Wyobraźnia moja z tych kolumn budowała całe czarowane światy. Był tam pałac kryształowy, taki „za górami i lasami,” do którego długo iść trzeba i być koniecznym rycerzem.

Siadałem wtedy na stołku i bijąc piętami zapamiętałem w deskę, jechałem do tego pałacu. Jechałem zaś tak komicznie, że najczęściej matka otwierała drzwi i wołała:

— A będziesz ty cicho, nieznośny dzieciaku?

Ala ja już przyjechałem tymczasem i służba wprowadzała mnie właśnie do zakłętych komnat, gdzie było tyle cudów, tyle czarów, tyle woni, tyle światła...

Ach, jak wtedy człowiek, taki maleńki i taki wąty, żył jednak całą pełnią życia, całą świeżością niestępionych zmysłów!

Jak ja odczuwałem wtedy zapachy. Czulem naprzykład doskonale zapach śniegu i oddech powietrza zimowego. Pamiętam tak dobrze zapach naszego pokoju, zapach w meblach, zapach ogrzanego powietrza. Przed świętami dostawała się tu cała skala zapachów pieczonego ciasta. Zdawało mi się, że odróżniam w niej woń pieczonej dla mnie strudelki.

Ach, jakie to były cudne te chwile przedświąteczne!

Kiedy rankiem rozchylałem klejące się jeszcze snem oczy, pokój wypełniał śnieżny, jaskrawy blask słońca, płynący białą falą od okna. Czuło się odrazu śnieg na dworze, a w moim łódeczku było tak ciepło, tak dobrze. Więc przymykałem oczy i przytulałem się do poduszki, udając, że nie słyszę głosu matki, która wołała:

— Stasiu, wstawaj!

A ja leżałem, jak hrabia i przez zmrużone rzęsy sączyłem w siebie słodycz dnia i rzeczywistości, mieszając ją z ulatującymi sennymi marzeniami.

Za chwilę pochylała się nademną twarz matki, taka słodka, taka dobra, taka cudna, jak u tego Anioła-Stróża, z którym we śnie uganiał się razem w mglistym obłoku za tumanem śnieżnych płatków.

— Stasiu, wstawaj!

Uczulem pocałunek na czole, ale zaraz jeszcze przymykał oczy, choć taką miałem chętkę rzucić się matce na szyję.

Matuchna tymczasem łaskotała mnie lekko to pod brodę, to po kolanach, a ja przykrywałem się kołdrą, wywijalem nogami, aż nareszcie wybuchalem śmiechem, że to niby mamusię zwiódł, bo ja już z dobrą chwilę nie śpię.

— No, ubieraj się, śpiochu, bo to dzisiaj Gwiazdka—konkludowała matka.

Zrywałem się wtedy na równe nogi i ubierałem się śpiesznie. Nawet myć dawałem się bez oporu.

A co to było potem zajęcia! A to wiercenie maku, a to oglądanie ryb, a to skradanie się do drzwi tajemniczego pokoju, z kądem rozchodził się zapach żywiczny choiny.

Nareszcie zabłysła gwiazdka. Pamiętam, jak mi się wtedy wszystko wydawało niezwykle jasno w domu. Jaskrawość złotawego światła lamp podnosiła niepokalaną białość obrusa, w świetle skryła się zastawa, a mnie się zdawało, że tak wspaniale jest chyba w tym kryształowym pałacu wróżki lub w samem niebie, gdzieśmy się we śnie bawili w ścieżki z aniołem stróżem. Tak, tam z pewnością musi być biało, jak na Boże Narodzenie na ziemi, i tak jasno, jak na Wigilię, i tak cudnie, jak w domu u tatusia i mamusi.

A wtem otwierały się drzwi i ukazywała się postać ojca. Strząsał on śnieg z ubrania i zasłaniał przed moim ciekawym wzrokiem zabawki.

— O, jakże pamiętam tę poczciwą, uśmiechniętą dobroliwie twarz ojca, gdy witał się z matką i mnie całował.

— No, cóż, wigilia gotowa? A Staś był grzeczny...

Okazywało się, że zawsze byłem grzeczny i gdy zapaliła się choinka, iskrząc się płomykami świeczek i milionem iskier na drżących błyskotkach, miałem tak samo rozszerzone oczy, jak mój Janek. Tak, był tam taki sam konik, taka sama szabelka, taka sama fuzyjka... Przypominam sobie, jakby to wczoraj było. Czuję chłód blachy, zapach lakieru, zapach i smak lufy od fuzyjki, gdym ją ślinił dla obsadzenia kołka... Bom ja pochłaniał te rozkosze wszystkimi zdrowymi zmysłami; była to wtedy istotna rozkosz życia...

...Jak te myśli moje płyną szybko i jak te lata ubiegły wartko! Gdzie one są? I jakie to dziwaczne: wtedy rachowałem lata zimami, od gwiazdki do gwiazdki, potem przyszła kolej na wiosny,

a potem znów na zimy... Tylko to już nie są te same zimy...

Pamiętam blade oblicze matki, jak się uśmiechała smutnie do mnie — po raz ostatni... Było to jakoś zimą, taką straszną, mroźną zimą...

I ten ranek blady pamiętam, gdy siwa głowa ojca zwiśla bezwładnie na mojem ramieniu, a ta droga, dobra poczciwa twarz nabrała nagle neruchomości i białości lodu.

Zdawało mi się wtedy, że to wirujące kręgi jakiejś olbrzymiej, groźnej zawieji porywają mi te drogie postacie, a mnie przejmują chłodem aż do głębi duszy... Tak, odtąd było mi coraz zimniej, coraz mroźniej w życiu.. Śnieżne płatki coraz częściej topniały mi w ciężkich kroplach na ramię i osiadały siwizną we włosach... Przypominam sobie tę pierwszą srebrną nitkę, która zaszumiała mi w uchu: *memento!*

— A teraz ty! na ciebie kolej!—mówiła srebrna nitka.

— Boże, jaki ja jestem stary! Doprawdy, nigdy nie uczulem się tak zgrzybiałym i tak zdartym i zużyтым, jak wobec tych cacek, które mi odslaniają słoneczną krainę dzieciństwa i te przebrzmiałe rozkosze życia... Tak, ta głębia, zalana światłami, mieniąca się błękitem i purpurą, skrząca się złotem i srebrem, to cała daleka przeszłość, a moje „dzis” — to ta zadymka szalejąca dookoła i przenikająca mnie zimnem do kości.

Brr... szkaradny czas!.. O! jaki tuman śnieżny zawinął nagle gdzieś z gzemu i odbił się od tafl szklanej... Przysięgłbym, że układa się w jakąś dziwną postać, która ku mnie wyciąga dłonie... Ot, halucynacya znużonych zmysłów...

A jednak coś mnie odciąga od tej tafli, do której przylgnał mój Janek,

Z widoczną też ulgą szarpie gwałtownie za rękaw mego syna i ciągnę go za sobą. A gdy ten, z zadziwieniem zwraca ku mnie swe oczy, mówię mu prawie z gniewem:

— No, dość tego bezmyślnego gapienia się na te głupie cacka!.. Czas do domu!..

Z A W S Z E.

Raz szła wiosna do wsi. Leciał przed nią biały sznur bociani, nad nią dzwonił skowronek, a z ziemi były mgły zielonawe, zmieszane z zapachem pracującej gleby, i pięły się, pięły zwolna na drzewa, nizając wiotką, przejrzystą osnowę, pełną pęków i węzłów złotych i obłoków błękitnych.

Wiosna poszła najpierw do lasu, rozgarnęła ściółkę i wydobyła z pod niej dzwonki modre, pierwiosniki i przylaszczki, na łące rozsiała złote gwiazdy jaskrów, a potem lała wonie w kielichy fiołków i srebrne dzwoneczki konwalii. Z lasu poszła nad rzekę do wierzb, próbować fujarek, a potem już wprost do wsi. Przy krzyżyku, na rozstaju, przystanąła, złożyła pierwszą garść kwiatów, i do chat... Dalejże więc złocić strzechy, rozpinać tęcze na szybach okien, zaglądać jaskrawym promieniem do wnętrza i omiatać obejście. W sadach, miast siatki zielonej rzuciła na trześnie i grusze biały puch łabędzi, a na jabłonie lekko różowy, jakby z od-

blaskiem zorzy. Obejrzała się, że wszystko dobre, znów przystanąła i zaśpiewała:

Płynę sobie po tem niebie
Przez tę modrość i bławaty,
Chodzę sobie po tej glebie
Precz od chaty aż do chaty
W kółeczko...

Ide sobie het przed siebie:
Dla dziewczyny niosę kwiaty,
A dla ojców pług na glebie,
Dla dziadunia dar bogaty—
Słoneczko...

Usłyszał dziaduś przyśpiewkę wiosny, wyszedł na przyzbie, posłuchał klekotu bociana na lipie, osłonił czerwone oczy dłonią i szepnął sobie:

— A no, przyszła jeszcze jedna wiosna—wiosenka!.. Może ostatnia!..

A wiosna tchnęła w lico dziadunia zapachem gleby, rzuciła mu kilka płatków różanych jabłoni pod nogi i zaszepotała z wiatrem:

— A nie!..

— Wrócisz?

— Wrócę.

— I będziesz przy mnie za rok? za rok?..

— Zawsze!

I dziaduś obrócił spłowiałe oczy w błękit, odetchnął głęboko i pił, pił słońko ciepłe, i wonie świeże, i jędrność wiosny.

.

Za rok przyszła znów wiosna. Leciały przed nią sznury bocianów, dzwoniły skowronki, budziły

się fiołki i konwalie, a ona szła ku wsi zwykłą drogą. Umaiła las i gaj, wypróbowała fujarki nad rzeką, przystanąła przy krzyżyku, opuszyła trześnie i jabłonie, a potem wprost poszła za czarne mogiłki. Tam umuskała ciepłym wietrzykiem brzozy. wycesała ich włosy, wyprostowała trawkę, na świeżym wzgórkę, wydobyla parę kwiatków, nalala w nich cudnych woni i szepnęła:

— Śpij!.. Ja znów wrócę, i za rok, i za dwa, i będę zawsze przy tobie!..

Wiosenka dotrzymała słowa.

R O S Y.

Szła sobie młoda wiosna o wczesnem świtanie od boru przez łąki.

Jużci zorza jasna porozpinała tęczę na wschodzie i zapłonęła rumieńcem przy piersi ziemi, a gaj brzmiał świągotem ptasim, aż rozlegało się daleko. W polu, zerwany z bruzdy skowronek biegł, jak kamyk rzucony w błękit, dzwonić na „Ave Maria...”

Ziemia w łąkach dymiała mgłą gęstą i woniami, a rosa ciężka, perlista, osiadała sznurami na liściach. I w tych paciorkach dużych a wilgotnych trawy łążne były jakoby siwe i kładły się niby pokosami, ociężałe i niskie.

Wiosna, bosa, z twarzą ciemną, jako ta gleba, żywiąca, z oczyma jasnemi, jako te niebiosy nad ziemią—zwyczajnie szczerą dziewczuchą wiejską—narwała sobie fiołków i konwalij w lesie, przyla-

szczków pod lasem, kaczeńca i jaskrów złotych w łąkach, plotła wieńce i śpiewała sobie:

Hej! za mną przez te zorze,
Hej, za mną przez świtanie,
Idą-ci druchny Boże!
Kochanie—miłowanie.

Idzie-ci maj rozwity,
Wesela idą głosy,
Przez zorze i przez świty,
Przez kwiaty i przez rosy.
Hej!...

I pokrzykiwała sobie „hej” — zwyczajnie prosta wiejska dziewczucha — dźwięcznie i przenikliwie, a głos szedł-ci po rosie trzykroć odbity i gdzieś aż z pod lasu odpowiadał przytłumiony:

Hej-e-ej!...

Ale rosy były rankiem chłodne i ziębiły hożą bosonóżkę, więc ci przystanąła i znowu zanuciła:

Ej, wy chłodne rosy,
Czemu to ziębicie,
Gdy w zorzach niebiosy,
W tym wiosennym świecie.

Gdy z wiosny zarania
Uśmiecha się życie,

Ej, wiosny, kochania
Wy nie wyzłobicie!

Hej!...

I znów od lasu pobiegło po rosie dalekie:

Hej-e-hej!...

Była-ci na rozstaju kapliczka umajona z obrazem Matki Boskiej. Zobaczyła ją wiosna i dalej — że śpiesznie wieńce splatać, a splatając, nucić pobożnie:

Po nad te jasne zorze,
Po nad tej wiosny rajem,
Królestwo Twoje Boże —
Tyś ziemi onej majem!

W Tobie przedziwne świty
I cudna nić przędziwa,
I zorza i błękity,
Mateńko miłościwa!

I śpieszyła wiosna do stóp kapliczki, nie pomnąc, że ją rosy ranne coraz bardziej ziębiły.

Ale u kapliczki już ją ktoś wyprzedził: klęczał tam zgięty w sukmanie szarej — człowiek.

Zajrzała mu w oczy wypłowiałe, jak u nierozpukłej sasanki, a na nich takie same ciężkie, duże krople, jak te w łąkach. Jedna kropla stoczyła się, spadła — i prawie sparzyła bosonóżkę...

I zdumiała się wiosna, że w jej królestwie, w tej dziedzinie wesela i maju, są rosy takie chłodne w łąkach i takie gorące — w oczach ludzkich...

NA ZWIASTOWANIE.

(ze starych legend).

Ocknęła się ziemia po długim śnie zimowym, szarpnęła białym całunem, zgoniła mgliste welony z ciemnego jeszcze lica i jęła się do pracy.

Pracować zaczęła gleba, dysząc ciężko i okrywając się potem ros perlistych.

Pracowały drzewa, nabrzmiewając sokami i wzbierając pękami, w których rozwijały się młode liście. Przodem zaś szły wierzby i brzozy, niby przodownice na zagonie. Pierwsze ustrojone w „kotki”: jak perły; drugie w białych sukienkach, z leciutko zieleniejącą kosą.

Pracował bór, otrząsając z mechów resztę szronów, z soków resztę lez zimnych i pomrukując cicho.

Szedł szum ziemią i polem i borem, i zdradzał wszędzie pracę; szły wonie i zapachy i zdradzały przyspieszony oddech natury.

Wiatr także pracował i szumiął. Zamiatął pole i bór, zgarniał wełnę obłoków z błękitu, budził senne jeszcze drzewa i rozpędzał tumany.

Najgłośniejszym jednak warczały strugi i rzeki. Wzdęły się one od nadmiaru wód, zalewały pola, popychały kamienie przed sobą i zapienione, zdy-

szane, pluskały rozhukaną falą, szumiąc nieustannie:

— Praca!... Praca!...

Uśmiechnęło się słońce do spracowanej ziemi i rzuciło jej garść purpury, złota i błękitu.

A ziemia, przyjmawszy dary, zabierała się odświechnąć całą tęczę. Bo już na zagonie i w lesie zaczęły pękać pierwsze pąki kwiatów i kołysały się z wiatrem. Dzwoniły dzwonki leśne, modrzyły się przylaszczki i sasanki, bielily, jak resztki śniegu pierwiosnki, złociły się jaskry polne i podbiały, a nawet podnosił nieśmiało senną główkę fiołek.

Słońce widziało to wszystko, ale i ono nie ustawało w pracy. Promienie jego, jak czółenka złote, migały we wzorzystych krosnach, tkając i rozszerzając wiotką przędzę na drzewach, ogrzewając ruń delikatną i świeżą i nalewając wonie w rozpekłe kielichy kwiatów.

Nie próżnowały i ptaki.

Skowronek od poranku dzwonił w błękitcie, wcześniej, niż dzwonek na Zwiastowanie, wcześniej, niż Wielkanocne dzwony. Nie darmo powiadają bowiem, że już „św. Agnieszka wypuszcza skowronka z mieszka.” Miałci on już gniazdo w szarej brudzie i dzwonił ziemi do pracy.

Jaskółki wybiegły z pod wody, gdzie je przez zimę więziła błękitna fala, i krążyły to nad zwierciadłem rzeczki, to nad strzechą, uganiając się za robaczkami i upatrując miejsca na gniazdo.

Bociany ciągnęły od południa i spadały z radosnym klekotem na strzechy, topole i lipy, witając starą siedzibę.

Nie próżnował i człowiek.

Wyszedł z chaty, spojrzął na wczesne już zorze i wydobyl srebrzysty lemiesz, aby pomódz zie-

mi w jej pracy. Pociągnęły też pługi na rolę i krajały czarne lśniące skiby, aż tam het! pod samo niebo.

Tak było do Zwiastowania.

Aż nagle w pierwszy świt, który mdły jeszcze i błękitny przez mgły się przebijał, uderzyły dzwony.

Biegły one zrazu ciche, potem głośniejsze, rozpraszały się po rosie, to znów łączyły w harmonię i śpiewały radośnie:

— Ave!...

Był zaś w nich hymn przedziwny, tryumfalny, zwiastowanie cudu i początku życia, a cud ten poprzedził inny, który ma na imię Zmartwychwstanie. I były te promienie alfą, za którą miała przyjść płomienna omega.

Pierwsza usłyszała dzwony ziemia i zasłuchiwała się w nie, dysząc lekko, jakby w pół śnie, w pół upojeniu. Przestała pracować, ale była to tylko chwila skupienia na nową, pełniejszą pracę.

Usłyszał dzwony skowronek i zamilkł, zasłuchany w echa.

Usłyszały dzwony kwiaty i przestały dierzgąć swoją tęczową przędzę.

Usłyszały dzwony ptaki i przestały więc swoje gniazda.

Usłyszał dzwony bór i przestał szumieć oczarowany.

Czas trwał do zmierzchu, kiedy znów przez błękitną głębię popłynęły rozbujane głosy z wieżycy. Biegły i teraz zrazu ciche, potem głośniejsze, rozpraszały się po rosie, to zbiegały w harmonię przedziwną i śpiewały radośnie:

— Ave!...

Był zaś w nich hymn przedziwny, tryumfalny, zwiastowanie cudu i początku życia.

Gleba, bór, kwiaty, ptaki i ludzie odebrali chrzest wiosny, a dzwony Zwiastowania przeżegnały ziemię na cztery strony świata. A choć praca w oczarowaniu i upojeniu ustąpiła na chwilę, był to tylko moment skupienia i modlitwy w zachwycie.

Dlatego to starzy ludzie powiadają, że właściwie Zwiastowanie zaczyna wiosnę na świecie. Wtedy zlatują się najgęściej bociany, a kwiaty chrzest odbierają. Wielkie to święto! Nie godzi się weń pracować dłońmi; lecz tylko zachwyconym duchem i bijącym sercem. To też — dodają starzy ludzie — w dzień Zwiastowania nawet najdrobniejsza ptaszyna przestaje wć gniazdko i wsłuchuje się w grające echa. Gdy zaś ziemia i ludzie prześnią słodko chwile upojenia, wtedy z rannemi świty tem żwawiej zawarczy praca na wielkich krosnach natury.

WRÓBLE.

Raz, wczesnym rankiem, kiedy podniosłem ciężką jeszcze snem głowę od poduszki, powitało mnie od okna światło matowo-białe, przefiltrowane przez zamarznąłą szybę i błędzące jaśniejszemi smugami po przeciwległej ścianie. Mróz! Mróz — zdawało się ostrzegać światło.

Okryłem się szczelnie i zwróciłem głowę do okna. To tak rozkosznie myśleć o mrozie, gdy się ma koldrę aż powyżej uszu!...

Jednak ten mróz to także modernista!... Ja-

kie on zadziwiająco powyprowadzał esy i floresy, jakie czarodziejskie kwiaty ułożył, jakie arabeski spletał! To można wściec się z zazdrości!

Co mi tam wizye „przedpotopowe” wszelakich „witrażystów”, co mi lilie „stylizowane”, lotosy „sfinksowe”, a nawet „leluje” zakopiańskie wobec tej kompozycyi lodowej! Daj go katu! Ten mróz to całą gębą artysta, a przytem modern — aż szyba trzeszczy!...

— Puk, puk, puk! — słyszę za oknem.

Aha, wiem, to wróble przyszły na śniadanie, sypane im co dnia szciodrą ręką dziadunia. Biedne wróble! Jakie to musi być zgłodniałe i zbiedzone na taki mróz... Pewnie to sama skóra i kości!...

O, jak teraz zróżował lód na szybie! Pyszności! Przysiągłbyś, że cała zorza zimowego ranka wsiąkła w te kwiaty i ożywiła je barwą czarodziejską!...

Dalibóg, mam ochotę krzyczeć z zachwytu!...

Ale złotosiejny Febus robi swoje... Szyba przesiąkła teraz złotem, a w jednym rogu, tam u dołu pociemniała... Czarodziejskie kwiaty topnieją w lzy, jak marzenie i — odsłaniają szkło — prozaične!...

Przez zrobiony wyłom zagląda ku mnie mała główka wróbla, który zabawnie wysuwa i kurczy szyję, niby kłaniając mi się na „dzień dobry”. Wspaniały jest ten obywatel ptasiego rodu w aureoli zamarznętej szyby, która oprawiła go w tło bizanckiego srebrnego obrazka!...

To ja tego obywatela tak przed chwilą żałowałem! Patrzcie państwo!... Ależ to grubas i całym na biedaka nie wygląda.

Nastroszył pióra, minę ma zadowoloną i wygląda, jak prawdziwy spasyły filister!... Tak, tak!

zupełnie, jak taki zakamieniały mieszczech w szarych szopach i czapce barankowej na uszy... Nawet kołnierz sobie postawił!.. A młóci okruszyny, aż mu się uszy trzęsą... No, wróbel niema znów uszu, ale to wszystko jedno, to potrzebne do uzupełnienia obrazu...

Aha! jest was teraz i więcej... a wszystkie takie same. Pewnie tu jest i żona tego filistra, taka opasła jejmość w czepcu... Bodajże was, moje wróble!..

Tak myślę sobie, wydobywając nogi z pod kołdry i szukając pantofli około łóżka...- Są!... A tu szlafrok!..

I myśl robi zwrot niespodziany.

— Mój kotku, i ty, zdaje się, sfilistrzałeś także i to grubo!.. Wyrzucasz wróblom, że nie korzystają dostatecznie z poezji głodu i chłodu, a ciebie samego ażali mróz życia nie nauczył przedewszystkiem pożytku, szlafroka. Filister jesteś, kotku, i szlafmyca, przyznaj się...

I gdy w przydeptanych pantoflach podążam na śniadanie, goni za mną pracowite, a teraz złośliwie brzmiające dziobanie wróbli za oknem, dziobanie chleba:

— Puk, puk, puk, puk, puk-puk-puk...

JAK POWSTAŁ PIERWSZY TURECKI ŚWIĘTY.

(Baśń z tysiąca i drugiej nocy).

Onego czasu w wielkim państwie Osmanów żył sobie pewien bogobojny i bogaty kupiec imieniem Ali Baba.

Miał ci on konie i rzędy kosztowne, stada wielbłądów, wory złota i żon wiele, które, aczkolwiek dużo kłopotów mu sprawiały, jednakże pod batogiem wiernego agi w należytej karności utrzymywane były.

Żył sobie tedy w bogactwie i dostojenstwie, ale napisano jest w Koranie: Losowi swojemu nie ujdiesz. Co ma być, niech się stanie. Aman.

Owóz z dopuszczenia Allaha, Ali Baba, który był ciekawości pełen, postanowił raz zwiedzić krainy niewiernych.

Sporządził tedy orszak bogaty, naładował wory złotem, i, ku większej swobodzie, nie wzięwszy żon (które czujność wiernego agi w należytej karności utrzymywały), ruszył samowtór z pacholkiem ku północnej stronie.

Chciał ci on zasie najpierw zwiedzić Lechistan, o którym zdawna słyszał, że ma lud krzepki do bitki i wypitki (wiadomo, giaur niewierny świninę nieczystą jada, winem popija, za co niech go Allah pokarze!...) i że kraj to bogaty, chociaż ładu w nim niema, chociaż każdy chłop ledwie jedną babę ma, a i tej rady dać nie może.

Ruszył tedy Ali Baba i słuch o nim zaginął.

Aliści, gdy księżyc złoty obrócił się ze dwadzieścia razy, powrócił bogobojny kupiec, ale w jakimże stanie! Miast drogich sukien okrywała go opończa podarta derwisza, miast rumaka arabskiego, miał kij sękaty, którym się podpierał.

Oblicze jego było wynędzniałe, oczy podkute i zamglone, jako u tych, którzy trawią czas na modlitwie i pościech, oraz na rozmowie dusznej z Allahem. Szedł i szeptał cicho, pewnie werset z Koranu:

Serce moje minionem zawsze wierne echem,
 Dusza pełna tęsknoty, wspomnieniami żyje,
 Jestem bez żądz, bez pragnień, zmartwiał na

[poły,
 [ły...

Bo miałem, a teraz niema, zgoła jestem go-

Ludzie ustępowali mi z drogi ze czcią wielką, a wieść o bogobojnym derwiszu doszła aż do padyszacha.

Ten, gdy noc zapadła, a przez lazuruowy namiot nieba przeglądać zaczęły jasne oczy huryszek, kazał przywołać Ali Babę i opowiedzieć sobie jego przygody, ile że go tego dnia bezsenność trapiła.

— Przybyłem do Lechistanu—zaczął Ali Baba— na sam początek święta Al-Karnevalu...

— Co to jest? — zapytał padyszach. — Ażali niewierni giarowie stali się wiernymi?... Ażali to jest coś z Al-Koranu?...

— O nie, słońce świata!—rzekł Ali Baba—to ich Ramazan, w którym uciechy swoje sprawują.

— Jakież to uciechy?—dopytywał padyszach.

— Poznałem je rychło. Poprowadzono mnie tedy do sali, pięknej, jak raj Mahometa. Były tam palmy i mimozy i paprocie, i wszystkie kwiaty wschodu, a zapachy nardu i ambry aż odurzały. Jakaś rajska muzyka przygrywała za krzewami, a wśród oslepiającego blasku przewijały się hurysy cudne...

— Co mówisz?—rzekł padyszach z iskrzącymi oczami.

— Tak, światło świata! Hurysy, odziane ledwie do połowy i bez zasłon. Porywali zaś je w pół czarni agowie i kręcili się wściekle, jak to czynią nasi derwisze w swoim tańcu. Owóż upatrzyłem

sobie jedną hurysę i rzekłem do niej słowami poety perskiego Abu Saida Fajdullaha:

Róża wśród pól pachnących piękność z ciebie
 [wzięła,
 W zwierciadle serca jasność ust twych się od-
 [biła,
 Zaś słońce pyłkiem jeno jest światłości twojej,
 Ażach chcesz serca mego, to weź je, o miła!...

— A dasz „bakczysz”?

Tedy dałem i dawałem ciągle, a złoto sypało się na uczty, oblewane winem...

— Nieszczęsny! — krzyknął zgorszony padyszach—każę cię ściąć!

— Nie czyń tego, królu królów, albowiem objaśniono mnie, że w Lechistanie w onem winie niema wina, jeno woda, korzeniami zaprawna i skórką paloną chleba zafarbowana.

— Tedy mów dalej! — odezwał się uspokojony padyszach.

— Niewiele mam ci już dodać, padyszachu. Kiedy się wyczerpało złoto z mieszkań, zwleczono mi bogate szaty, zabrano konie, i zanim Ramazan się skończył wyświecono mnie sromotnie z miasta. Tedy przywdziałem strój wędrownego derwisza i, jako tam obyczaj w Lechistanie, zacząłem czas trawić na rozmyślaniu i pościech.

Zbudował się padyszach tem postanowieniem i pochwalił Ali Babę, zapewniając go, iż odtąd co dnia w przedsionku pałacowym znajdzie dzban wody źródlanej i kromkę chleba suchego.

Ali Baba zaś odszedł, mrużąc z Koranu:

Choć serce się włóczyło po pustyni życia,
 Na trzaski połupane do dom powróciło,

Jestem bez żądz, bez pragnień, zmartwiały na-
[poły,
Com miał, teraz już nie mam, jestem zgoła goły...

Wszyscy zaś otaczali wciąż bogobojnego der-
wisza i jednogłośnie uznali go za świętego.

On zaś chodził w skórach baranich, opończą
podartą ledwie osłaniając nagość swoją.

Tak powstał pierwszy turecki święty po po-
wrocie z Lechistanu i po Ramazanie.

PRIMA APRILIS.

...Prima aprilis—tfy!...

Panu śmiech, panu wesele, a nam, biednym
żydkom, czasami choć płacz. Niech pan posłucha,
co panu powiem. Jak handluję z różne staroży-
tności, co się nazywa tandetę, jeszcze takiej przy-
gody nie miałem. Przygoda „wesola,” *fein!* niech
jej moje wrogi zaznają!

Pan zna studenty? Każdy to taki wesoly, aj,
taki wesoly, jak wróbel na wiosnę. A jakie one
bywają gołe! to drugie tyle co wesołe! Ale to nic,
on sobie śpiewa, jak wróbel, papierosy pali, jak
smok i kocha się zawsze w te panienkę z przeciw-
ka. U nich jednak można zarobić i ja panowie
studenty bardzo lubię, choć to wielkie figlarze.

Raz taki wesoly student kiwa na mnie z góry.

— Handel, chodź!

Czemu niemał pójść? To mój fach. Idę na
czwarte piętro, na facyatkę. Schody krzywe, zady-
szałem się, ale w moim fachu niema fatygi. Ile
razy, pan myśli, ja robię taki kurs na facyatkę?

Może dwadzieścia, może trzydzieści razy, może wię-
cej, a czasami całkiem po próżnicy. Trudno, trze-
ba żyć.

Wchodzę do stancjki, a tu dwa studenty
mieszkają. Jeden siedzi przy stoliku z papierami,
a drugi z polikliniki, pan wie, te na Marszałkow-
skiej ulicy, leży z papierosem na łóżku.

— Handel—powiada pierwszy—chcesz kupić
„portugalię?”

Pan wie, oni to nazywają „portugalię” z
wesołości, choć to nie jest żadna geografia.

— Jabym wolał żakiet, marynarkę, stare ka-
masze, ale cóż robić, niech pan pokaże tę „portu-
galię.”

On mi pokazał. Patrzę u dołu—trochę strzę-
py, patrzę w samo dno—sito!

— Co pan chce za ten łachman?—pytam.

—No, no!—gniewa się student—ostrożnie z gę-
bą, (jakie one czasami bywają ordynarne!) Łach-
man czy nie łachman, dasz rubla.

Więc ja sobie pomyślałem: „jak się ociepli,”
ale powiedziałem tylko:

— Dam dwadzieścia kopiejki, same srebrne,
brzęczącą monetę, ani grosza mniej.

— To się wynoś!

Więc ja poszedłem za drzwi i jeszcze raz tyl-
ko powiedziałem:

— Dam piętnaście kopiejki, niech stracę!

— Dasz rubla, albo idź precz.

— Panu nikt nie da i piętnaście kopiejki.

— Zobaczymy.

— Poszedłem, ale się zatrzymałem na scho-
dy, bo słyszę, jak student woła innego kupca. Więc
ja zaraz temu kupcowi powiedziałem o co chodzi,

żeby ceny nie podbijał i my poszli razem na górę. Przez drzwi ja słyszę, jak ten student na łóżku powiada głośno:

— Franek, a zrewiduj „portugalię,” bo jakeś mi jej pożyczal na balik, wpakował mi się za podszewkę „fajgel.”

Papierek!

— Może nawet trzyrubłówka. Wtenczas miałem „flotę” i nie chodziło mi o to.

— Gdziebyś teraz znalazł. A zresztą szukaj sobie.

Więc ja otwieram drzwi raptem i mówię:

— Ja, panie, postąpię!

I łap za nogawkę, a tu mi coś jest za podszewką; w palcach chrzęści, całkiem jak „papierek.” Ale i tamten łapserdak także chwycił za drugą nogawkę i powiada:

— Ja kupię!

— Czekaście!—woła student—tam są podobno pieniądze. Trzeba przeszukać.

— Na co? po co to? Na moje sumienie tu nic niema, tylko same dziury.

— I tu także nic niema, żebym tak zdrów był—przyświadcza tamten łapserdak, ale nogawkę trzyma.

— Więc co będzie — pyta student — dacie rubla?

— Ja dam pół—powiadam.

— Ja dam sześćdziesiąt kopiejek — woła ten drugi kapcan.

I ten, ten gałgan, ten łapserdak, ten łajdak, co nie miał podbijać cenę, zaczyna licytować.

To my się posprzecjali — pan wie, w handlu człowiek jest zawsze gorący — trochę pogniewali, trochę nakrzyczeli, aż ten student na łóżku z uciechy nogami fikał. Wesoły był.

Ale kiedy my się trochę posprzecjali, to my także trochę ciągnęliśmy nogawki do siebie, trochę szarpali i zdarzył się trochę feler, a potem całe przygode. Ta siła w samo dno nie wytrzymała, zrobił się krach i my odlecieli do ściany każdy ze swoją nogawką w garści.

A panowie studenty, powiadam panu, tylko się śmieli, aj, jak się oni śmieli!

— No, i cóż teraz? — pyta ten starszy. — Zepsuliście mi mój „strój balowy” (on to teraz nazywał „strój balowy!”) trzeba zapłacić.

Więc my się porozumieli z tym drugim kupcem, a że on nie chciał oddać swojej połowy, to my musieli teraz zapłacić po całe pół rubla—*bares geld*.

A potem kiedyśmy weszli do sieni, to co pan myśli, myśmy znaleźli każdy w swojej nogawce... Może rubla? może trzy, co ten wesoły student zgubił za podszewką! Niech takie ruble widzą moje wrogi! To były puste kartki z napisem: „Prima aprilis.”

My zrobili gwałt, my zrobili protestowanie, ale studenty się śmieli i powiadali: pociście rozdarli nasz „strój balowy?” A z ten strój balowy i te geograficzne portugalie to teraz ledwie starczyło na porządną czapkę... Ja sobie potem na te studenty odbilem, ale wtedy to miałem stratę i wstyd i zawód.

Prima aprilis, tfy!...



27

87

87

